

Barbara Sidorczuk

Ludzkie problemy

Kobieta bez ambicji

Przed kilku tygodniami opublikowanych zostało kilka danych, dotyczących rozwodów w Polsce, a wśród nich także informacja o najczęstszych przyczynach rozpadania się małżeństw. Informacja była skromna, a cała złożoność dróg, jakimi ludzie odchodzą od siebie, potraktowana została skrótowo, w formie niemal telegraficznej. Wśród powodów wymieniony został także jeden, nie najważniejszy bynajmniej, który ponadto w pobieżnych ocenach zaliczany jest raczej do zanikających niż narastających zjawisk społecznych. Powód ten zasygnalizowany jako „brak ambicji zawodowych kobiet” — podawał w statystycznej formie te rozwody, które doszły do skutku w rezultacie „wyrośnięcia” męża ze związku, w którym kobieta intelektualnie pozostała daleko w tyle, przestając być partnerem równorzędnym towarzyszką życia satysfakcjonująca ambicję mężczyzny.

Po jakimś czasie do redakcji nadszedł list od czytelniczki, którą właśnie to sformułowanie prasowej informacji smagneło, jak się wydaje najboleśniej, bo było — co można wywnioskować nie tyle z tekstu co z podtekstu listu — obojętnym skwitowaniem decyzji, z których kiedyś ona sama miała prawo być po prostu dumna. Przy pobieżnej lekturze listu nerwowego w tonie, pełnego gorzkich niedopowiedzeń i aluzji, sytuacja wydawała się banalna. Ale ton smutnej ironii, nastrój kłębki, a zarazem lęk, by nie narazić na szwank godności własnej sprawy, że list zmuszał do namysłu i spojrzenia na sytuację jego autorki przez pryzmat losu tych wszystkich kobiet, które mają poczucie źle pokierowanego życia mimo najlepszych intencji.

Prawo do ponoszenia ofiar

Ponieważ autorka nie opisywała dokładnie własnej historii, nie umiem ocenić wszystkich przyczyn, które sąd musiał wziąć pod uwagę zanim zdecydował udzielić rozwodu. Ale warto, wydaje się niekoniecznie z okazji statystyk rozwodowych, narysować sylwetkę kobiety, która chciała mieć prawo do ponoszenia ofiar.

Zaczynali więc oboje z tej samej dokładnie linii startowej. Oznacza to, że oboje mieli, teoretycznie rzecz biorąc, te same możliwości. Ale na samym początku oboje popełnili kardynalny błąd, przed którym innych jednak chyba nie warto przestrzegać, bo przestrogi nie skutkują. Postanowili mianowicie ze swej zbyt młodej miłości zbudować małżeństwo, wierząc wzorem innych, że samo uczucie jest dostatecznie dużym kapitałem zakładowym na przyszłość.

Stereotyp kolejnych rozczarowań jest na ogół znany i nie ma potrzeby go tu relacjonować. Po krótko były to: kłopoty mieszkaniowe, niedostatek, młodzieńcza improwizacja w sprawach

bytowych, zabawna tylko wówczas, gdy ocenia się ją z dystansu zakończonego happy-endem. Tu happy-endu, jak już wiemy, nie będzie. Przyszedł bowiem taki moment, kiedy trzeba było dokonać wyboru: kto pójdzie dalej, skoro nie mogli iść wspólnie? Chwila taka wiąże się najczęściej z przyjściem na świat dziecka, skąd biorą swój początek dalsze losy małżeństw podobnych do losów autorki listu.

Pisząc o bohaterkach pozytywnych naszych czasów, podkreślamy najczęściej ich hart, umiejętność godzenia tradycyjnych obowiązków żony i matki z ambicjami życiowymi, upór i siłę. Czy więc tylko świadomość, że nie sprostała wzorcowi zaprawiła list autorki gorczyczą?

Bez rachunku

Ceni się rezultaty. Ona nie może wykazać się rezultatami. Może najwyżej mówić o tej chwili, kiedy powiedziała do niego: idź, ja ci pomogę. Nie jest zresztą wykluczone, że słowa takie w ogóle nie zostały wypowiedziane, tylko stały się faktem, gdy po kolejnej chorobie dziecka okazało się, że już nie jest w stanie nadrobić zaległości szkolnych, gdy dom nie dość zadbany odstraszał oboje i pierwsze szczeliny na małżeńskim szczęściu przybrały formę ostrej sprzeczki o nie ugotowane kartofle. Nie wiem doprawdy, co wymaga większego hartu: umiejętność poradzenia sobie z nadmiarem kłopotów czy odwaga rezygnacji na czyjąś korzyść, odwaga podjęcia decyzji, która jest niczym innym jak ofiarą poniesioną na rzecz drugiego człowieka, przejawem lojalności tak oczywistym, że aż żenuje ocena tego faktu.

Od tego momentu zrozumiałe stało się samo przez się, że to wszystko, co związane jest z codziennością małżeństwa, obarczy tylko kobietę. Ona pracowała, on się uczył rozumując ciągle jeszcze uczciwie, że trzeba przebrnąć jak najszybciej przez trudny etap, który jest nieodzowny dla przyszłej pomyślności rodziny. W tym okresie nie wystawiali sobie jeszcze rachunku za wzajemnie ponoszone wyrzeczenia, brnąc mozolnie do finiszu kłopotów i trosk.

Po kilku latach, gdy jego ambicje zaczęły procentować finansowo, towarzysko i społecznie — nastąpił krach. Kobieta w sposób oczywisty została w tyle. Sytuacja wręcz głupio banalna. „Brak wspólnych zainteresowań, niemożność znalezienia kontaktu intelektualnego, różnica poziomów”. Rozwód. Pisze o sobie: Wiem, jaka jestem śmieszna z moim rozżaleniem, takie jest życie. Sama przecież podjęłam decyzję, że kształcić się będzie mąż. Ale czy można mówić, że przyczyną naszego rozwodu jest brak moich ambicji życiowych?

Wymóg odpowiedzialności

Nie znam tej sprawy bliżej, ale prawdę mówiąc jest ona tylko pretekstem rozważań. Zna ją

sąd i skoro orzekł rozwód z uwzględnieniem wszystkich okoliczności, to zapewne miał ku temu dostatecznie dużo powodów. Nie zamierzam także oceniać postępowania mężczyzny w sposób jednoznaczny, przy zastosowaniu kryteriów uczciwego wywiązywania się dłużnika z zaciągniętych zobowiązań. Życie przecież to nie kasa zapomogowo-pożyczkowa. Nie wszystko można spłacić; ani jednorazowo, ani ratami. Nie często też bilans małżeństwa da się sprowadzić do prostych podliczeń.

Chcę natomiast zatrzymać się nad problemem wzajemnej odpowiedzialności za siebie dwójga ludzi — niezależnie od tego, czy ich sprawę rozpatrywał czy nie rozpatrywał sąd. Przemiany społeczne, a w ślad za nimi i obyczajowe, jakie zaszły w naszym kraju, dają człowiekowi większe niż kiedykolwiek prawo do walki o osobiste szczęście. I to jest zjawisko ze wszech miar pozytywne. Ale tylko do pewnych granic.

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Cyprian Kamil Norwid

Monolog Hamleta

Być albo nie być? oto zapytanie,
Czyli jest zacniej, skoro duch się kłoni,
Niż kiedy w pełnym złego oceanie
Złemu zaprzecza, nieszczęściu się broni?!

Umrzeć? — to zasnąć — skoro więc przez spanie
Można ukrócić cierpień sto tysięcy
Nie rozłączonych od życia i ciała —
Końca takiego — och! — chcieć najgoręcej!...

Lecz umrzeć, zasnąć... to śnić! — oto cała
Trudność — w śnie onym cóż bo dziać się musi?
Gdy wyzwolonym duch w rzeczywistości —
Ta to zaprawdę wątpliwość nas kusi,
Stając się źródłem długo-żywołności.

Inaczej, któż by znosił wieku wzgardę
lub chłosty — ? — niepoczcziwość ludzi?
Naciski dumy obrażonej harde,
Miłość, co na to, by odepchnąć, ludzi —
Odwołki sądów i sądów formuły —
I to, przeciwko czemu duch się wzdryga:
Nieczerłość, w miarę ileś ty jest czuły —

Jeżeli sztylet to wszystko rozstrzyga? —

1862

(Urywek z komedii „Aktor”)



Wydarzeniem kulturalnym dla Rzeszowa i województwa była wczorajsza premiera „Hamleta”, którego wystawił Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.
Na zdjęciu: Józef Onyszkiewicz — Laertes, Teresa Ujazdowska — Ofelia.

Fot. M. KOPEĆ

Na najbardziej monumentalnym budynku małego miasteczka bliższy złotymi literami napis: „Dom Strażaka”. Zainteresowany z pamiątkowej tablicy może wyczytać jeszcze intrygującą datę 1950—1966.

W szesnastu latach zamyka się historia wielkiego czynu; obiektu, który obok swej zasadniczej funkcji remizy strażackiej, pełni rolę placówki kulturalnej. Tu ćwiczy dęta orkiestra strażacka, zbiera się na próby i występuje amatorski zespół artystyczny, tu przyjeżdża od czasu do czasu estrada, czy teatr z Rzeszowa.

Nie byłoby w tym nie nadzwyczajnego, ale w Dynowie, miasteczku o zaledwie trzytysięcznej rzeszy mieszkańców, jest drugi skromniejszy w rozmiarach i działalności Dom Strażaka — także wybudowany w czynie społecznym na tzw. Przedmieściu. Modne kiedyś zawołanie „każda gromada ma dom strażaka” podwójnie się urzeczywistniło. Skoro miasto „stało” do budowy, dlaczego swojego obiektu nie może mieć przedmieście? Zamierzenia nad podziw ambitne acz z gruntu nierozsądne, bo w sumie remizy i tak są w jednym Dynowie.

Sprawa stała się przedmiotem ataków, krytyki i perswazji. Podszeptywano, aby operatywne strażę zjednoczyć, a remizę z Przedmieścia zamienić na bardziej potrzebną mieszkańcom halę produkcyjną. Sugestie te skwitował miłoczący, honorowy upór. Na tym się skończyło.

BUNT PRZECIW „SZYFOWEJ PRACY”

Początków Dynowa szukać można już we wczesnym średniowieczu, jednak niepodważalną moc prawom miejskim przynosi dopiero data 1425 roku.

To niepozorne dziś miasteczko nie może dokumentować swoich dziejów wieloma zabytkami; uległy one zniszczeniu — jedynie co pozostało to wymowne nazwy. W Dynowie jest wiec „Podwale”, „Zabramie”, jest też „Przedmieście”, a nazewnictwo to musiało mieć jakieś realne podłoże i świadczy o bujnym kiedyś rozwoju i życiu miasta. Począwszy od XIX wieku Dynów upadł, koniunktura nie sprzyjała. Zniszczony podczas drugiej wojny, jeszcze nie zdolał znieść wdarć bombami luk. W rynku widać świeżą cegłę dopiero wzniesionych budowli.

— Ile zdaliśmy zrobić, zadała sobie pytanie ówczesna miasto. O ile mogliśmy zrobić — podchwytliwa dynowianka. Miała już 25 lat od wyzwolenia, a miasto wesele z dnia na dzień. Kto temu winien?

Długo grzechami obciążano władze powiatowe z Brzozowa.

sądzono bowiem, iż wszystkie środki tam toną, podczas gdy Dynów szarpie się na czyny społeczne. Dwa domy strażaka, dwa mosty, czynnem też budynek służby zdrowia, tym sposobem także stadion, pawilon Szkoły Podstawowej (Przedmieście) i obecnie wzniesione już za około milion złotych ściany warsztatów dla Zasadniczej Szkoły Zawodowej...

— Mogliśmy zrobić więcej? — zachnął się zapalony kiedyś społecznik. Czyny — to piękna inicjatywa i to, co zrobiło się w Dynowie jest jakoś funkcjonalne, ale zastanówmy się, w jaki sposób zmieniło to oblicze mia-

ku. W styczniu 1969 roku patrzyłam w MRN na stopy skoroszytów z równiutkimi rysunkami technicznymi i ścisłymi obliczeniami. Przystań wraz z projektowanym hotelem pozostała na papierze. Ale nie tylko. Dla potwierdzenia pokazano fundamenty nad Sanem. Zarosłe chwastami ponad 60 tysięcy złotych, zlekceważono pracę młodzieży szkolnej, nauczycieli, sportowców i wielu innych zainteresowanych.

— Dlaczego? Władze miasta, same nie bardzo pojmują. Zwolana komisja ekspertów stwierdziła, że należy wstrzymać budowę, lokalizację

podobno uodporniają, nadają hartu. O tym mogą mówić zaśluzeni w kulturze Dynowa członkowie dętej orkiestry strażackiej. Ich dyrygent p. Dymczak kilkadziesiąt lat strawił przy instrumentach. Jego żona w prywatnej rozmowie zdradziła, że gdyby znała ten muzykalno-społeczny zapęd człowieka, nie miałaby odwagi wiązać drugi raz z nim życia... A dyrygent uspokaja żonę: niedługo emerytura, będziesz miała męża w domu, rozsypie się dotychczasowy mur z nut... Żal będzie odejść, tym bardziej iż Dymczak zdaje sobie sprawę, że we współczesnych czasach nie ma chę-

A gdzie młodzi? W teatrze reżyser Jurasińskiej to naprawdę jednostki. Niezrzeszona ogromna reszta zabija nudę kufkami piwa w restauracji Dynowa „Pod kłosem”. Te „artystyczne występy” często ocenia przyjeżdżające tutaj z Brzozowa Kolegium Karno - Administracyjne.

Dwa lata temu udostępniono młodym lokal, finansowo wspierany przede wszystkim przez GS. Długa sala w każdy wieczór zimowy tonie w chmurach dymu; na działalność składa się program: gry w karty i gry w szachy. Telewizor zepsuty — odsunięty na bok. O prasie nawet się nie mówi. Bufet zaprasza na kawę lub herbatę — po godzinnym czekaniu; słaba maszynka elektryczna, mały czajnik — narzeka paniąka zza lady.

Właściwie drobiazgi i szkoda się nad nimi rozwodzić. Ale takie jest życie szumnie zwanego Międzyzakładowego Klubu Młodzieży. A jakie zorganizowane rozrywki? Nie udaje się nawet wieczorek taneczny. Brydzyści czy inni fanatycy nie pozwolą naruszyć „swoich” stolików.

Siedziałam godzinę. Rozglądając się pomyślałam, iż przybysza mogą jeszcze zainteresować ściany z hasłami i agitacyjnymi napisami, które urągliwie krzyczą do zebranych.

W rozmowie z młodymi padają rozsądne zdania. Nie wystarczy sala i bufet. Ktoś musi jeszcze odpowiadać za kulturalną działalność klubu. Na to trzeba etatu dla rzutkiego kierownika, który potrafiłby zainteresować czymś znużoną młodzież. No więc?

Jak dotąd przez dwa lata nie było na to środków. Fundatorom wydawało się, że spełnili swój obowiązek dając sztyld klubowi. W tym czasie — nie powiem — myślano chociażby o społecznej radzie klubu, rozważano aspekty wychowawczo-kulturalnego oddziaływania na przychodzącą tam młodzież. Jedno pozostało:

„Takie będą Rzeczypospolite jak ich młodzieży chowanie” (St. Staszic)

wychodząc czytam zdobnie wypisane hasło na ścianie dynowskiego klubu.

REASUME

Władze miejskie pokazują dorobek Dynowa, nie ukrywają jego mankamentów. To, że dużo się zrobiło — nie podlega nawet dyskusji, ale jedyną podstawą dla radykalnej zmiany we wszystkich dziedzinach życia jest jednak baza gospodarcza. Dynów ma warunki dla przemysłowego rozwoju.

Doszło do spotkania przedstawicieli władz powiatu z Brzozowa, władz miejskich Dynowa i... Huty ze Stalowej Woli. Planowana filia jest tą przyciągającą szansą, na początek dla kilku setek, potem tysięcy i kształcącej się młodzieży, która chce widzieć swe życie w pracy, kulturze, turystyce i sporcie.

JUSTYNA WOS

Justyna Woś

Sny Dynowa o przyszłości

sta! Istotę żalu wyjaśniają przykłady. Oto najnowszy: Buduje się warsztaty dla ZSZ. Robi się wysiłki, aby zapewnić uczniom przygotowanie praktyczne i kwalifikacje. W finale dostaną do kieszeni dyplom, z którym mogą wędrować do Stalowej Woli, Tarnobrzega, Rzeszowa, Przemyśla czy Sanoka — żadnych możliwości pozostania na miejscu, bo Dynów nie gwarantuje pracy.

Uprzemysłowienie miasta — to jak sennie marzenie znika w szarym dniu. Jeszcze niedawno podsycala Dynów nadzieja utworzenia tutaj filii „Autosanu”. Szansa została zdyskwalifikowana.

Na razie nie udało się Dynowowi z większym przemysłem. Pech prześladowa też turystykę, mimo wielu walorów naturalnego położenia pośród wzgórz, nad Sanem, reklamy jaką stanowią „Dni folkloru Pogórza Dynowskiego” i atrakcyjnego unikatku, jakim jest pożyteczna „ciuchcia”. Niestety, na hotel miasto nie stać.

Od kilku lat rozpowszechnia się akcja kwater prywatnych i w letnim sezonie można naliczyć ich sporo, ale wiadomo także, iż jest to półśrodek w rozwiązaniu sytuacji.

Znowu więc niepoprawni entuzjaci zapalili miasto do społecznego czynu. Przystań wodna miała ściągnąć turystów nad San. Wybrano miejsce, wystarano się o zezwolenie, przygotowano plany i dokumentację — także społecznie. To było w 1965 ro-

przenieść — gdzie indziej. A wcześniej ktoś musiał wydać zezwolenie i zatwierdzić dokumentację...

Po czterech latach dynowianie mogliby oczekiwać zakończenia budowy, jeżeli nie hotelu, to przynajmniej pawilonu kajakowego z szatniami itp., a tak do dziś straszy wbudowana w brzeg cementowa podstawa wymarzonej stacji wodnej.

— Mamy czasami dość „mierzyć siły na zamiary” — odpowiedziano na pytanie pytaniem... Stracili złudzenia.

TAKIE BĘDĄ RZECZYPOSPOLITE...

Problemy sypią się jak z worka. Najważniejszy to jednak z pracą; ten pociąga lawinę innych mniejszych i coraz drobniejszych. Te z kolei układają się, jak kamyczki w mozaikę, tworząc obraz codziennego życia Dynowa. Pani bibliotekarka i bywałcom MBP oraz czytelnicy mają spokój chociażby brak dwu popularnych pism: „Przekroju” i „Sportu”. Biblioteka w Dynowie nie otrzymuje ich z Wydziału „Ruch” w Brzozowie, z prostej przyczyny: są zlimitowane! Kłopotów nie było dopóki, biblioteka korzystała z usług miejscowego kiosku. Teraz urzędowa droga nie uwzględnia społecznego zapotrzebowania, liczą się plany i limity.

Swoje kłopoty ma Ludowy Klub Sportowy — duma Dynowa nie tylko z racji liczebności członków, ale i sukcesów na imprezach powiatowych i wojewódzkich. LKS — skupia około 300 osób, w tym przeważającą część stanowi młodzież. Cóż z tego, że mobilizuje się ją do rekordów, kiedy na co dzień brak funduszy, a co gorsza lokalu. Treningi to istna „wędrownka ludów”, z sali do sali. Trudności

do kontynuowania zaszczytnej tradycji dętej orkiestry.

Jeszcze w pięćdziesiątych latach przybyła do Dynowa młoda absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego. Praca pedagogiczna w LO i początki ambicji na szkolnej scenie. Nie wiadomo, kiedy wzbogaciła tradycje amatorskiego zespołu teatralnego, którym Dynów szczycił się od 1928 roku. Mgr Jurasińska wprowadziła na dynowską scenę klasyków, ciężkie dramaty romantyczne, aż do współczesnej awangardy ze satysfakcją przyjmując uznania nie za kopiowanie profesjonalnego teatru, ale za własną oryginalną, aczkolwiek amatorską koncepcję wystawianej sztuki. Pędził ją zapal aktorów, entuzjazm wyrobionej publiczności.

Na próbie przygotowywanej z okazji 25-lecia PRL i roku Wypisankiego „Warszawianki” — rozmawiam z zwolennikami żywego słowa. Pan Z. Chudzikiewicz — aktor prawie etatowy, choć na co dzień jest skromnym pracownikiem sklepu.

Teatralnym kompanem Chudzikiewicza jest p. St. Kostur. Ten zawsze potrafi dzielić czas między dom, pracę, teatr, orkiestrę dętą i sport.

O każdym można byłoby dużo mówić. Samo to, że przychodzą z własnej chęci, nie obowiązku o czymś już świadczy. Pani Owaska z przerażeniem przypomina sobie, że od czasu pierwszego scenicznego występu w gimnazjum do dzisiaj upłynęło już prawie dwadzieścia lat! Z daleka i regularnie na próby przychodzi p. Kędzińska. Nieznany publiczności sufler — mimo, że nie chce się zdekonspirować, musi się przyznać, że jego praca to też jubileusz, na którym mógłby wystąpić z koncertem dziesiątek ról wyuczonych na pamięć podczas prób.

Kobieta bez ambicji

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Nie wydaje mi się pozytywnym symbolem współczesności realizowanie prawa do osobistego szczęścia wbrew wszystkiemu, wbrew podjętym zobowiązaniom w stosunku do innych ludzi, mimo ciężkiej na jednostce odpowiedzialności wynikających z takich chociażby niemodnych pojęć jak honor. Sądzę, że jest zwykłą nieuczciwością postępowanie człowieka, który zabiega o swe szczęście cudzym kosztem, który zaciągnął długi i umorzenia ich żąda tylko z powodu wygasłej miłości. I nie ma tu znaczenia pozycja zawodowa i społeczna, poziom intelektualny, jeśli człowiek ten realizuje w praktyce przekonanie, że jego osobiste zadowolenie jest rzeczą nadrzędną w stosunku do obowiązków, jakich się kiedyś podjął, a które w pewnym momencie życia uznał po prostu za

nieaktualne tylko dlatego, że przestały mu dawać zadowolenie. Jest w tym coś z etycznego chuligaństwa, bo wynika z nie-respektowania norm wprowadzone nie ujętych w prawne paragrafy, ale składających się na moralny dorobek ludzkości.

Wiem, czym może być dla dwojga ludzi związek tylko formalny, przymus codziennego obcowania pełnego wrogości i niechęci. Wiem, że bywają sytuacje, w których rozwód jest ratunkiem dla dwóch stron. Ale nie mogę zrozumieć, że można udzielić aprobaty argumentowi dojrzałego mężczyzny zrywającego małżeństwo tylko dlatego, że intelektualnie przestało go satysfakcjonować. Mam pełną świadomość tego, że jest to stanowisko niemodne, powiedziała-bym nawet archaiczne i obruszą się nań wszyscy zwolennicy nowoczesności w dziedzinie oby-

czajów. Dla podtrzymania moich opinii nie posłużę się nawet przykładem skrzywdzonych dzieci, choć byłoby to najprostsze i najbardziej oczywiste. Chodzi jednak o sprawę bardziej złożoną: o to, by nie dawać prawa obywatelstwa w naszym systemie moralnym, zwykłym egoizmowi.

Związek dwojga ludzi nie jest umową z losem na dożywanie szczęścia. Jest zobowiązaniem lojalności, złożonym w ogromnej mierze na ślepo, ale jednak zobowiązaniem, które winno być respektowane gdy wielkie uczucia okażą się złudą. Respektowane honorowo, przede wszystkim wówczas, gdy zerwanie ich wiąże się z krzywdą innego człowieka, a w tym przypadku człowieka, który poniósł w tym związku wyjątkowo wysokie koszty.

BARBARA SIDORCZUK



Cuprian Kamil Norwid, Hamlet rys., 1850.

Krystyna Świerczewska

Bardzo lubię aktorstwo Pani Jadwigi Ulatowskiej, spokojne, skupione, powściągliwe. Kiedy pamiętam ją sprzed laty — rozkosznie paplającą Muszkę w „Skizie” i widzę dziś w nobliwej roli żony podstarzałego Casanowy z odciskami — przyznam się szczerze, że wolę tę dojrzałość, w której dostrzegam zachowany z pietyzmem urok niewinnej kokietki z odrobiną doświadczenia, refleksyjnej zadumy nad dniem minionym i świadomość własnego powabu, budowanego przemyślanymi środkami aktorskimi. Zupełnie nie od rzeczy przypominałam „Skizę”, bo „Koncert” Bahra — i to dla niego winno być komplementem, jest nieco „zapolski” w atmosferze, choć z drapieżnej damy fin de siècle’owej zostawił tylko sprawy płci, rezygnując idealnie z wszelkich pazurów społecznych, czy jadowitych wycieczek w sferę moralności.

Dlatego stary bęwał koncertujący jest tak bardzo miły, głupiotki panie z wiedeńskiego monde’u tak rozkosznie głupiotki, leśniczówka, w której rzecz się rozgrywa tak bardzo przypomina landrynkowy nastroik etykietek na szwajcarskim serze, a zdradzone żony z wdzięczności, że bywają gorsze, bo publicznie rozgrzeszane i psychoanalizowane, po freudowsku wytłumaczone wysoki, wyżej unoszą głowę po spektaklu i w drodze do domu wraz z przyjaciółką ponownie rzecz przypasowują do życia. Ze trochę im się nie zgadza wszystko i w budżetach, i w czasie — to już kładą spokojnie na konto fikcji teatralnej; dostały jednak coś ze swojego życia, bodaj w założeniach owej podniecającej walki przeciwstaw w łonie małżeńskiego stadła i ani mają zamiar spierać się o szczegóły.

Kiedy przed 60 laty odbyła się w Kolonii prapremiera „Koncertu”, a Hermann Bahr, austriacki pisarz niezwykle płodny, zdradził monarchię austriacką i przeniósł się do ościennego państwa, wyobrażam sobie, że publiczność strojna w rajery i akselbanty szczerze oklaskiwała światek tak dobrze jej znany i z takim pietyzmem przez autora zaaranżowany na scenie. Dziś też oklaskuje rajery, wdzięczny kostium z epoki, odległej zaledwie o 2 wojny światowe i z pobłażaniem patrzy na to maleńkie muzeum z czasów c.k. monarchii Franciszki, przypominające okno wystawowe Desy: niedrogie kamee na aksamitkach, rupiecie wspomnień, zegar z kukułką, oleodruk w pięknej ramie, dzwoneczek śmiechu, balowa szaszetka z frezów...

I konflikt małżeński, gdzie mąż ani nie jest taki zły, jak by się przypuszczało, ani nie dysponuje temperamentem południowca, ale jak każdy poczciwy mieszczuch lubi wygodny kapeć, grzanek na maśle, nietłustą szynkę, którą z nabożeństwem przygotowuje od czasu do czasu własnoręcznie sosem z kropelką vinaigrette i potrząsa nad sosem, ot tak, dla przysmaczenia młynkiem od pieprzu. Wszystkiego w miarę, bo niestrawność grozi; wszystko pierwszej świeżości, bo tylko ona w przejrzałym wieku pobudza trawienie.

Zatem, jak już tło mamy z głowy, a może raczej w głowie, resztę przyjmujemy z pogodnym spokojem, bowiem wyroki nieba mogą być niezbadane, ale wyroki teatru łatwiej przejrzeć można. Co jakiś czas, również z pogodą, zastanawiamy się, dlaczego tyle inteligencji na naszych oczach marnuje Hermann Bahr na taką bzdurkę i dlaczego aż w trzy akty ją rozciąga, ale zastanawiamy się retorycznie, czyli bez konieczności znalezienia odpowiedzi. A później już rozwijamy sobie starannie opracowany program, czytamy najpierw podpis milego latom naszej młodości Kornela Maku-

szczyńskiego i nieco wyżej znajdujemy zdania:

„...zatarł (Bahr naturalnie!) wszelkie spojenia i ślady roboty i dał rzecz formalnie wzorową, wewnątrz (...) nieco pustą.

Pisząc swój „Koncert” stanął na tej wąskiej przestrzeni, od której na prawo jest komedia, a na lewo farsa i używając satyry do utrzymania równowagi, zatacza się, raz w jedną, a raz w drugą stronę; raz sięga ręką po psychologiczny motyw do komediowego arsenału, raz po

Koncert z wariacjami na tematy kulinarno-mażeńskie

„kawał” do rekwizytorni z farsowymi gratami. Wszystko to jednak czyni z niesłychanym wdziękiem, pięknie i wytwornie...”

Bardzo wytwornie. I nic dodać, nic ująć, choć padła ta ocena przed półwieczem.

Tak bardzo zgrabny ów „Koncert”, że aż pusty; tak perli się elegancją dowcipu, że czasem nawet nieczytelny ów dowcip w swym salonowym wyrafinowaniu. A przy tym ani rusz rozgryźć, co w nim z farsy, a co czysto komediowe.

Pani Olga Koszutska postawiła na farsę, ale i jej wymyka się czasem z rąk owa śliska całość. Dostaliśmy mimo to zgrabne przedstawienie, w miarę dynamiczne, w miarę dowcipne, w którym aktorzy czują się zupełnie świetnie i grają w miarę świetnie. Kulinarnie — rzecz była przyprawiona bez zarzutu: szczypta pieprzu, szczypta soli,

kropła octu i cukier, który na ogół z wyżej wymienionych ingrediencji najmniej szkodzi, przeto ilość jego, przyznajmy bez znaczenia. Pomysł Pani Koszutskiej, by zamknąć ramkę w medalionową oprawę też wydaje mi się szczęśliwy, bo od razu w końcu wiadomo, o co idzie.

Wracając zaś do aktorów: najmniej farsowa pani Ulatowska podobala mi się najszczerzej. Pan Waław Rybeżyński, będąc tak w typie, jakże mógł nie być doskonały? Pan Zbigniew Zarembo, odświeżył rolę w „Derbach w pałacu” i znowu był starym wiarusem jak się patrzy, z nerwem i do szklanki. Czy akurat pani Urszula Nowacka musiała wziąć sobie do serca farsowość aż tak jaskrawie — nie jestem do sprawy przekonana — poddaję więc tylko pytanie pod rozwagę.

Poza tym wszystkie panie wyglądały bardzo pięknie w sukniach prababek, bo też i moda nie skąpiła piór, wstążek, bajecznych toczków, kapeluszy, słowem — wszystkiego, co upiększa kobietę i w czym lubi się ona poruszać. A że wszystkie te fatalaszki z wdziękiem zawdzięczamy pani Irenie Nowickiej, jako też projekt salonu, leśniczówki i kanapy, na której przetaczają się en masse małżeńskie burze — nakazuje mi pióro sprawozdawcy teatralnego napisać w tym miejscu komplement: ładne i smaczne to było.

Można by w tym duchu jeszcze długo, przeto pod „Koncertem” położy termin muzyczny: da capo al fine i pędzę dzwonić do teatru po miejsca na jutrzejszego „Hamleta”. Było nie było.

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. Wandy Siemaszkowej. Hermann Bahr — „Koncert”. Reżyseria: Olga Koszutska. Scenografia: Irena Nowicka. Asyst. reżysera: Zbigniew Zarembo. Osoby: Gustaw Heink — Waław Rybeżyński, Maria, jego żona — Jadwiga Ulatowska, dr Franciszek Jura — Tadeusz Olesiński, Delfina, jego żona — Barbara Kozłowska, Ewa Gerndl — Urszula Nowacka, Pollinger — Zbigniew Zarembo, Pani Pollinger — Jadwiga Wysocka, Anna — Anna Kujalowiec, Miss Garden — Zofia Gorczyńska, Pani Claire Floderer — Irena Angerman, Pani Fanny Mall — Irena Chudzikówna. Premiera dnia 16 stycznia 1989 r.



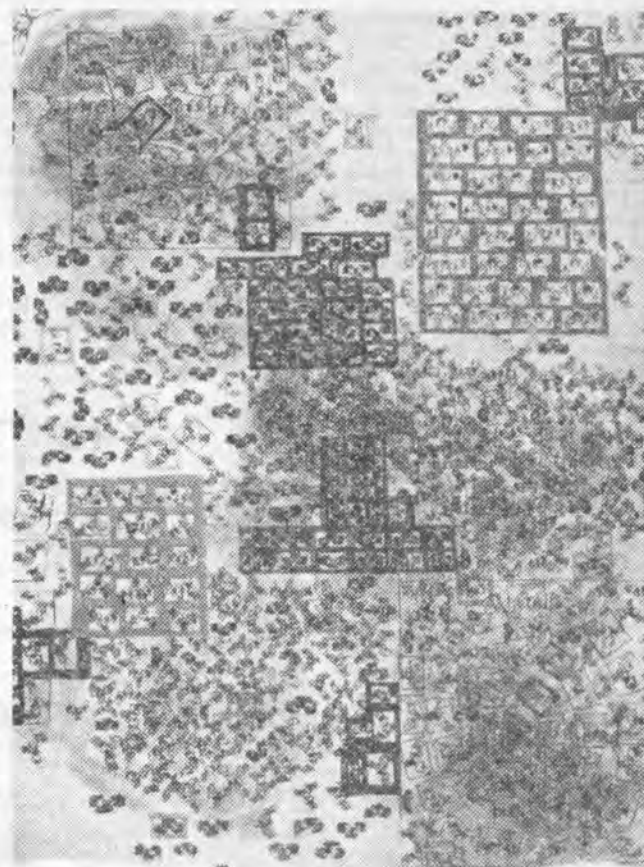
GRUPA ECOLE DE PARIS

Aleksandre Istrati, ur. w 1915 r. w Dorohaju, mieszka w Paryżu. Długo uprawiał tasyzm. Obecnie zajmuje się kompozycjami o bardziej rygorystycznej konstrukcji. Reprodukacja przedstawiła obraz olejny „Mariner IV”.

Fot. M. KOPEC

Współczesne malarstwo francuskie w Rzeszowie

Nowatorstwo i precyzja warsztatu



GRUPA ECOLE DE PARIS

Natalia Dumitrescu, ur. 1915 roku w Bukareszcie, mieszka w Paryżu. Uprawia malarstwo abstrakcyjne o odcieniu lirycznym. Reprodukacja obrazu olejnego „Epistrophe”.

Fot. M. KOPEC

Wystawa współczesnego malarstwa francuskiego otwarta tydzień temu w rzeszowskim Domu Sztuki jest dla Rzeszowa wielkim wydarzeniem artystycznym i kulturalnym. Kilkadziesiąt prac zgromadzonych na tej ekspozycji reprezentuje prawie wszystkie kierunki awangardowe dzisiejszego malarstwa europejskiego. Znajdujemy na niej przedstawicieli ekspresjonizmu, nadrealizmu, tasyzmu, abstrakcji geometrycznej i abstrakcji impresjonistycznej. Równocześnie wystawa stanowi jak gdyby historię awangardy — znajdują się na niej prace niezwykłych już mistrzów, inicjatorów poszczególnych tendencji w sztuce, malowane przed 25 czy 30 laty, prace z lat 50. oraz najnowsze, które powstały po roku 1960.

Wbrew powszechnemu panującemu mniemaniu brak wśród eksponowanych obrazów daleko posuniętych objawów ekstrawagancji, eksperymentatorstwa, pogoni za nowościami za wszelką cenę — brak także na ogół trójwymiarowych obiektów sztuki kinetycznej, lub tak modnych dziś u nas prób montowania obrazu z rozmaitych, poza malarzkich tworzyw (szmaty, drewno, metale itd.). Na tle rozpasania pomysłów i niedostatków warsztatu, które tak często się widzi na naszych wystawach, to malarstwo jest prawie klasyczne. Mistrzowskie opanowanie techniki malarzkiej (zdecydowana większość obrazów, to oleje na płótnie) precyzyjnie wyważona według zasad jakiejś wewnętrznej logiki kompozycja prac, wreszcie umiejętność wykorzystywania praw fizyki i zadziwiająca znajomość efektów kolorystycznych, które można uzyskać przez zestawienie barw — oto zasad-

nicze cechy twórczości malarzy „Ecole de Paris” — środowiska paryskiego firmującego tę ekspozycję.

Nie ma tu również obrazów utrzymanych w konwencji realistycznej w ścisłym tego słowa znaczeniu, a prace z zakresu malarstwa figuratywnego są w zdecydowanej mniejszości — prezentują je tylko ekspresjonści i nadrealiści (m. in. Pignoff, Maryan, Artias, Jorn, Dubuffet, Dado). Zdecydowaną przewagę ma na wystawie malarstwo o charakterze formalistycznym, dość odległe od jakiegokolwiek humanistycznych, społecznych czy narodowych treści. I to jest chyba ujemną cechą wystawy.

Trudno zresztą mówić o francuskich treściach czy cechach eksponowanego malarstwa skoro do środowiska Ecole de Paris należą, jak się dowiadujemy z katalogu, artyści urodzeni m. in. w Sztokholmie, w Turcji, w Rumunii, w ZSRR, w Niemczech, Szwajcarii, na Węgrzech, w Danii, na Kubie, w Kanadzie, Czechosłowacji, Argentynie, Polsce i w Chinach. Paryż słynie od lat jako magnes ściągający malarzy z całego świata i stolica europejskiej sztuki. Za jej wysoki poziom artystyczny stworzony wysiłkiem wybitnych twórców wszystkich krajów płaci zanikiem jej narodowego charakteru, ciągłym narastaniem tendencji kosmopolitycznych. Mimo to ekspozycja ukazuje bogactwo temperamentów indywidualnych, wielką skalę wrażliwości twórców i różnorodność tendencji estetycznych. Uczy, iż poszukiwanie nowych dróg artystycznych nie zwalnia artystów od twórczego trudu, rzetelnej pracy i znajomości rzemiosła.

JAN GRYGIEL

Jan Grygiel

TRZY TOASTY

W sierpniu roku 1944 władza niemiecka na terenach położonych na zachód od Wisłoka i Wisłoki zdawała się rozsypana w proch. Mieszkałem wtedy w Ropie obok Gorlic i tam obserwowałem symptomy rozkładu zdobywców Europy. Przez kilka dni główną szosą wiodącą z Gorlic do Nowego Sącza przelewała się szeroka rzeka skłębionych bez ładu samochodów ciężarowych, furgonów konnych i wozów osobowych. Uciekali dygnitarze administracji okupacyjnej, wojskowe, gestapo i wszelkie szczyry tyłów z Wehrmachtu. Nawet motocykliści i piesi przeciskali się w tym przerażonym i rozdygotanym całą mocą silników pochodzących na zachód. Pojaśniały twarze chłopów obserwujących zebraną za chlebem, sianem dla koni i mlekiem, brudnych i nieogolonych żandarmerów Sonderdienstu, lub żołnierzy frontowych. Po dawnej bucie i pogardzie dla tubylców nie zostało śladu. Trzęsącymi się rękoma wskazywali na wschód: — „Iwan, Iwan geht!”... mamrotali, dodając: „Front kaputt!”...

Ale radość była jeszcze przedwczesna. Po kilku dniach fala paniki opadła, szosa opustoszała i wszystko wróciło do dawnego, a nawet jeszcze okrutniejszego porządku okupacyjnego. Zawstyżeni, skompromitowani teńhorzostwem dygnitarze kreis hauptmanschaftów i gestapowcy wrócili i rozpętały przyfrontowy terror. Posypały się aresztowania, wyroki śmierci, rekwizycje, groźby wysiedlania... Czuliśmy się tak jakby po świcie zamiast dnia znów wróciła głęboka noc.

W mroźnym styczniowym poranku załapałyśmy szyby naszego domu i rozdręgały się w kredensie szklanki — raz, drugi i trzeci, a później zaczęły brzęczeć bez przerwy. Wybiegliśmy przed dom — od wschodu dochodził jednostajny, równy, stłumiony grzmot podobny do przesuwania ciężaru po gigantycznej pralce. — Szybko zorientowałem się co to za burza. — „Ruszyli! — ktoś z nas krzyknął, — to chyba katusze” — dodał ktoś inny. Ulga, niepewność i lek; radość i obawa — ogarnęły nas skłębione uczucia. Śniadanie zostało nietknięte na stole. Zjawiska narastające w szybkim tempie wnet rozwiały wszystkie wątpliwości. Grzmoty, jakby się podnosiły coraz wyżej nad horyzontem, dołączyły się wkrótce do nich dalekie wibrujące pomruki samolotów. Wnet na widocznej w oddali szosie zakotłowało się jak w sierpniu. Całą szerokością drogi, płytkimi rowami i przylegającymi poлами przedzierała się w kierunku Grybowa i Nowego Sącza lawa niemieckich ciężarówek, tankietek, wozów konnych i samochodów sztabowych. I znowu za chwilę rozległy się gdzieś nad Gorlicami dość bliskie eksplozje dział przeciwlotniczych znaczone na niebie czarnymi bukietami dymów i zaraz potem ryk myśliwców nad głową. Przyleciało ich dwanaście, sfurmowały się w kształt koła i po kolei zaczęły obniżać się nad szosą. Tuż nad nią zaczynały siał seriami pocisków zapalających z szybkostrzelnych działek, z karabinów maszynowych i obrzucać samochody gradem małych bomb. Strach przysiadł mi do ziemi — każdy samolot obniżał się nad dachem naszego domu i rozpo-

czynął ogień w kierunku szosy, niecelne pociski ognistymi smugami kładły się czasem o 50 do 100 metrów od okien. I ten straszliwy, wibrujący w mózgu huk... Niecelne?... Wkrótce zaczęły płonąć jak pochodnie samochody, cysterny z benzyną, spłoszone i poranione konie pędziły na oślep po polach. Drewniany dom dygotał i trząsł się każdą belką, obrazy spadały ze ścian, a na szosie pogrom trwał dalej. Po 20 minutach samoloty wróciły na wschód i słychać było tylko trzask eksplodujących pocisków w płonących samochodach i furkotanie powietrza od dalekich salw katusz.

Już widzieliśmy, że zbliża się groźny, zacięty front, że

Na drugi dzień rano samoloty powróciły jeszcze raz, ale droga opustoszała — nieliczne pojazdy pomykały chyłkiem omijając leje, wraki i trupy koni. Pociski dalej krążyły w powietrzu w obydwie strony, ale coraz rzadziej. Przed południem nagle wszystko umilkło — przeraźliwa cisza dzwoniła w uszach. Zdawało się, że cały krajobraz przycisnął się w oczekiwaniu. Nie było nawet najłżejszego powiewu wiatru. Później rozdarła powietrze potężna eksplozja i nastąpiło milczenie. Domyślił się, iż Niemcy zniszczyli most. Nie mogłem spokojnie usiedzieć w domu, z dała od centrum wsi. Chciałem dowiedzieć się czegoś o losie przy-

Już po chwili znalazł się na stole półmisek surowej, kwaszonej kapusty i trzy duże szklanki. Czerwonoarmista przyniósł z juków siódła półlitrową butelkę wódki i od razu całą, mimo naszych protestów, rozlał do szklanek... „Nie szkodzi, za taką okazję można wypić, rzekł uspokajająco — tylko trzeba duszkiem”... i wznosił toast za zwycięstwo. Z przerażeniem podnieśliśmy z gospodarzem szklanki pełne wódki. Ale trzeba było — nie można obrażać gościa znad Donu.

Historia powtórzyła się trzykrotnie — trzy butelki z juków powędrowały na stół. Piłem ostry alkohol jak wodę, nawet nie protestowałem, że trzeba było zawsze pić całą szklankę do dna. Wszystko się we mnie rozprężyło, przyjemny ogień zasumiał mi w żylach. Drugi toast był za Stalina, trzeci za Polskę i przyjaźń. W nerwowej euforycznej rozmowie wyrzucaliśmy z siebie cały koszmarny ostatni miesiąc, a rosły żołnierz mówił o swej spalonej na Ukrainie wsi i rwał w myślach do Berlina. Wychodziłem z tego żołnierskiego przyjęcia obdarzony frontową zapalniczką z gilzy, a szosa już szumiała, jak rzeka — pełna śpiewających piechurów, przeciskających się samochodów, kuchni polowych i dział. Niezbyt dokładnie już pamiętam szczegóły tego powrotu — 3 szklanki wódki zaczęły działać jak nabój o spóźnionym zapłonie. Wiem, że siedłem spleciony ramionami z grupką czerwonoarmistów i śpiewałem coś razem z nimi. Wiem, że ze śmiechem wygrażaliśmy pięściami niemieckiemu lotnikowi, który skądś zjawiał się nad kolumną obrzucając ją niecelnymi, słabym ogniem kaemu. Czuję się lekko, radośnie, wymieniałem dziesiątki uścisków rak — i wciąż w podświadomości, jak blizny, tańczący napis tkwił mi najistotniejszy sens tego dnia — „to pierwszy jasny dzień po pięciu latach nocy”.

Był dzień 16 stycznia 1945 roku.



Rys. W. JUDIN — grafik radziecki.

każdy zbłąkany pocisk lub bomba może spalić nasz dom. Trzeba było się zabrać do wynoszenia w bezpieczne miejsce zboża. Z lochu wykopanego pod klepiskiem stodoły wyszedł ojciec ukrywający się tam od 2 lat przed pagonią gestapo. Po raz pierwszy od swojej ucieczki odważył się ukazać w biały dzień na podwórzu, zobaczyć krajobraz w słonecznym blasku. W tej pustej teraz ziemiance postanowiliśmy ukryć zboże i trochę odzieży. Ale nie starczyło czasu... Regularnie co godzinę wracały samoloty i zaczynały swoją pracę. Nie można było krzątać się wokół domu, gdyż radziecy lotnicy mogliby wziąć nasze sylwetki za uciekających żołnierzy niemieckich. Dziesiątkowane, sprute pociskami i bombami kolumny niemieckie nie nadążały ze sprzątaniem wraków samochodów i trupów z szosy. Coraz większa falanga ogarniętych paniką piechurów przedzierała się porzuconymi sprzętami polnymi drogami. Wyczerpani nerwowo do ostateczności bez posiłku, przemarznięci, gdyż ognia w domu nie dało się utrzymać doczekaliśmy zmierzchu.

Nocą samoloty już nie wróciły i ścichł łomot katusz. Rozpoczął się za to niezbyt gęsty lecz uporczywy ogień armatni. Co chwilę ognista smuga przekreślała czerni nocy i pocisk przelatował nad naszymi głowami z osobliwym chlupotem i furkotaniem. Na szczęście wszystkie przenosiły. Szosa wrzała w ciemności, ostrym, mieszanym zgiełkiem. Na horyzoncie pojawiły się migotliwe odbłaski lun. Zasnęłem jak kamień, mimo poświstu pocisków, łoskotu i dygotania szyb.

jaciół i znajomych, zobaczyć pierwszych żołnierzy radzieckich, w ogóle zorientować się w sytuacji. Mimo przestróg i perswazji rodziców, że mogą się natknąć na maruderów, że zbłąkane kule, że miny... palony podnieceniem podszedłem do wsi. Wokół jak okiem sięgnąć panowała pustka, ani śladu jakiegokolwiek człowieka... Po dłuższej chwili zza zakrętu wyjechał wóz osobowy z żołnierzem leżącym na masce i mierzącym przed siebie z autotatu. Później wyszło 4 piechurów i wreszcie pojawił się kawalerzysta. Zauważyłem gwiazdy na futrzanych czapkach i podszedłem bliżej. Machali przyjaźnie rękami pytając o „germańców”, śmiali się szeroko pokazując porzucaną broń w rowach i szli dalej. Konny zatrzymał się, zsiadł z konia i z szeroko otwartymi ramionami podszedł do mnie, objął i poklepał po plecach. — „No już Niemcy uciekli, jesteś już człowiekiem wolny... A my dalej, na Berlin”... Bezdolna rozmowa w mieszanym polsko-uralskim języku, pełna radosnych wykrzykników trwała dłuższą chwilę. Pytał o kierunki, w których poszli Niemcy, mówił o polskich żołnierzach, którzy idą razem z wojskami radzieckimi, o oswobodzeniu... Z zadraśniętego policzka ściekała mu wąska strużka krwi — jej odbicie znalazłem również na swym policzku; Została tam po naszym uścisku. Poprosił bym wszedł z nim do pobliskiego domu, chciałby się obmyć i coś przelknąć. Przywiązał konia do plotu i weszliśmy. Zastaliśmy samego gospodarza — żonę i dzieci wysłał do krewnych mieszkających w lesie, by uchronić je przed bombami.

Rok 1969
na księgarskich
półkach

Z planów wydawniczych „Czytelnika”

Tegoroczny plan wydawniczy „Czytelnika” to istny katalog nazwisk autorskich pierwszej wielkości. Obok z dawną oczekiwaną „Przygod człowieka myślącego” Marii Dąbrowskiej, obok Zofii Nałkowskiej obszernych „Dzienników czasu wojny” — odnajdujemy tu „Tożsamość” — nową powieść Teodora Parnickiego, dwa tomy Jerzego Putramenta („Skarłaty krzew” oraz „Krajobrazy”), wreszcie Tadeusza Łopalewskiego „Berlo i desperację” — reprezentującą charakterystyczny dla tego autora rodzaj powieści historycznej, w której każdy element treści ma najściślejsze pokrycie w przekazach epoki.

Kazimierz Brandys, Bogdan Czesko, Stanisław Dygat, a spośród prozaików młodszego pokolenia Marian Pilot — oto nazwiska innych autorów, których nowe powieści i zbiory opowiadań w tym roku otrzymamy.

A świetnych pozycji nie brak i w kręgu przekładów, gdzie pierwsze miejsce przypada w tym roku bez wątpienia prozie amerykańskiej oraz literaturze niemieckiej strefy językowej. Otrzymamy więc bodaj ostatnie nie znane jeszcze polskiemu czytelnikowi arcydzieło Williama Faulknera, „Zgiełk i furia” oraz — należąca także do cyklu południowoamerykańskiego — powieść „Umierając” tegoż autora. Ukazę się również „Rok 1919” Johna Dos Passosa (drugi tom wielkiej trylogii „USA”, której część pierwsza, „42 równoleżnik”, wyszła u nas przed sześcioma laty). Spośród zaś przekładów z języka niemieckiego wymienimy już choćby tylko sławnego „Kusiela” Hermana Brocha, „Litewskie klawikordy” zmarłego przed paru laty wybitnego prozaika Johanna Bobrowskiego, „Prawdziwy błękit” Anny Seghers i „Koniec podróży służbowej” Heinricha Boella.

Nie zabraknie też książek z kręgu literatury faktu. Najciekawszą zaś z nich będzie tom „Wstać, sąd idzie”. Ta interesująca książka (praca szeregu autorów) będzie zbiorem relacji z procesów politycznych, których widownią była druga Rzeczpospolita w ciągu całego swojego istnienia — od roku 1918 po 1939.

Listy DO PRZYJACIELA

„...można przez długie lata żyć nie wiedząc o istnieniu pewnego przywileju, lecz gdy człowiek korzystał z niego chociażby przez trzy dni, zawsze już potem odczuwa jego potrzebę i cierpi nad jego brakiem” — napisał Henry James w „Ambasadorach”. Dla Stretchera takim przywilejem, bez którego nie mógł się już obejść było towarzystwo panny Gostrey; dla Ciebie — czyżby moje listy, o które się tak dopominasz? Zagubił się gdzieś po drodze ów z ubiegłego tygodnia, bom przez rozlgnięcie dała mu zły adres i jak bumerang wrócił na moje biurko, nieprzeczytany. Powinno Ci go dołączyć do słów dzisiejszych, ale zbyt dręczy mnie ten jamesowski problem przywileju nieświadomości, owa dysproporcja między potrzebą a świadomością, bym miała zalać słów, których przez pech, zły przypadek, czy Bóg wie ja-

kie jeszcze złe moce w zeszlą sobotę nie otrzymałeś. Punktualność była przywilejem królów. Cóż z tym rodzajem ludzkim mogę mieć wspólnego? Sam widzisz, że już moje urodzenie dało przyzwolenie ekscesom czasowym, jakie zdarzy mi się jeszcze popełnić... Przywilej i krąg przywilejów... Przywilejem może być wszystko dosłownie — święteczny obiad u sępa i umiejętność życia; premia z racji zajmowania eksponowanego stanowiska i ukłon męczący; otwarcie drzwi przed szefem i skorzystanie z drzwi skwapliwie otwieranych dłonią mniej zasobną we władzę od Twojej. Któż w końcu zastanawia się nad złożonością niuansów każdego z przywilejów, które dyktuje pleć, prawo, bądź sytuacja społeczna. A czasem jeszcze urodzenie i to nie tylko w przypadku królów; często wiedza — i równie często pieniądź.

Roman Tupek Notatki z wycieczki do Kraju Rad

Stary i Nowy Arbat

Nazwa Arbat trąci Bliskim Wschodem i można by przysiąc, że powstanie jej zawdzięcza Moskwa, wędrownemu kupiectwu ze Wschodu. Rosjanie, zarówno jak i Polacy, niewielkimi z dziedziny handlu poszczycić się mogli talentami. Grek natomiast czy Ormianin, kupił wszystko i sprzedał, jeśli z zyskiem, własną żonę nawet wraz z dziećmi opchnąć był gotowy za psie pieniądze choćby, jeśli zwłaszcza żona była stara, a dzieci nigdy syte. Przymiotnik „stary” dowodzi, że cieszący się sławą od wieków „Arbat” doczekał się potomka, który otrzymał nazwę „nowy” zapewne na nią zasłużył, jako piękniejszy od swego rodzica i bardziej uwagi godny.

Miałem możliwość poznać, między innymi i Nowy Arbat i zapamiętałem go doskonale. Długa i rozrzućta szeroka ta ulica z ustawionymi, jak do sznura, kilkunastopiętrowymi wieżowcami, zbudowanymi w kształt półotwartej książki z betonu, stali i szkła, prezentuje się jako cud techniki budownictwa lat ostatnich bieżącego stulecia.

Nie okna wystawowe, ale całość ścian frontonów sklepów i magazynów zbudowane z tafli rżniętego szkła, pozwalają zorientować się o zawartości wnętrza, wzdłuż na pokuszenie oczy przechodnia, by wstąpił i chociaż nie kupi niczego, widokiem tych rozmaitości napaść się będzie mógł do woli.

Na rogu przecinającej Nowy Arbat jednej z ulic rzuca się w oczy, jakże miła dla Polaka reklama:

„Chcesz wyglądać elegancko i modnie, ubieraj się w polskim magazynie mody „Warszawa”...

Właściwy handel w Moskwie zaczyna się wieczorem dopiero od godziny siedemnastej i trwa do dwudziestej pierwszej, przy czym, im później, tym nasilanie kupujących staje się tłumniejsze.

Nie zaszedłem do reklamującego się magazynu mody „Warszawa” brakło mi czasu. Stwierdziłem natomiast, że spódnice i sukienki moda tutejsza nakazuje nosić może nie za długie, ale piękność kolan

ukryta jest i nie skażona oczami profana, choćby tak tęsknie upatrywał tego widoku wśród pięci słabszej, a wdzięcznej.

A onaż, ta pięć słabsza, a piękniejsza, nie mniej pokiwana jest od pięci brzydkiej. Tyle tu kawalerów, co jeden to urodziwszy, mimo to żaden z nich nie pokwapi się zaprezentować zawadiackiej fryzury na politycy głowy wspartej na kolnierzu marynarki kurzawą rozkulonych kłaków.

Obejrzawszy stoiska handlowe GUM-u, które, gdyby obok siebie w jednym szeregu ustawić, zajęłyby przestrzeń pół mili nieomal, udałem się na Arbat.

Z Nowego na Stary Arbat poszedłem pieszo i od tego czasu starałem się oglądać i podziwiać olbrzymią Moskwę, chodząc jej ulicami jak największą w własnych nogach.

W rozmowach ze spotykanymi moskwiaczami ciągle się słyszy wypowiedź: „stare i nowe”. Jednym słowem, Moskwa stara i nowa; porowolucyjna. Mieszkańcy rozmilowani są w swym mieście i używając terminu w czasie przeszłym czy teraźniejszym, z jednakową wypowiedzią go chepliwością. Nie przekonają się o ich racji, byłoby niegodne zwiedzającego miasto turysty. Z nowego, przyniatającego swym rozmachem, oszlifowanego i zapiętego na ostatni guzik Arbatu, na Arbat Stary, już tylko kilkadziesiąt kroków przecznica. I tu, jakby wprost z lśniącego od polysku salonu przechodzi się od razu, do pełnej gratów przemiję, swojskiej kuchni. Znachodzę się, niby w naszym Przemysłu czy innym, podobnym mu, starym mieście w Polsce. Kamienie do trzech, czterech pięter, jedna wyższa, druga niższa, a każda zbudowana inaczej. Wiele z nich z ornamentami płaskorzeźb na ścianach frontowych. Nie, stanowczo mi to miłsze od podobnych do potwornie wysokich stów pudełek z zapalkami, choć lśniącej wielobarwną mozaiką wieżowców. Stary człowiek szarej i cichej przystani dla siebie szuka z dala od polysku i wielkomięskiego zgiełku. Na szczęście nie brak tu takich przysta-

ni podeszłym w wieku moskwiaczom. Omszałych starością budowl, drewnianych nawet, bardzo wdzięcznych zresztą dworków, spotyka się tu całe dzielnice; jak mi opowiadano, w wielu z nich nikt mieszkać nie chce. Pęd do nowoczesności i wygod, jakie niesie z sobą budownictwo dwudziestego wieku, ogarnia coraz szerzej ludność wielkiego miasta. Mimo zawrotnej przebudowy, dużo jeszcze wody przetoczy się korytem rzeki Moskwy, zanim stolica kraju Rad przestanie mieć charakter miasta starego i nowego. Nim to jednak nastąpi, co dziś nowe zestarzeje się, i... Moskwa, zresztą po wielokroć już razy niszczona była, palona i odbudowywana, w różnych epokach czasu i sytuacjach politycznych, słuszenie zatem zyskała sobie nazwę, o dwu przymiotnikach. Taką też pewnie pozostanie po wieczne czasy.

Magazyny i sklepy Starego Arbatu zapelnione są wszelkiego rodzaju starzyzną.

Jak wszędzie w sklepach komisowych uwidocznił się ceny. W restauracjach, barach, stołówkach ludzie kupują i oprócz chowanych asortymentów do torb i teczek, zajądają się na miejscu, przy czym posiłki mięsne na planie pierwszym u każdego.

Widok tyłu posilających się działa na mnie zaraźliwie. Wchodzę do „Stołowai”. Garderoba obowiązkowa, w zwierzchniej odzieży i z nakryciem głowy, choćby w reku, nie wpuuszczają.

We wszystkich lokalach użyteczności publicznej Związku Radzieckiego jest obowiązkowy zwyczaj, rozporządzenie ogólnie, pozostawiania zwierzchnich odzieży i zbędnych przedmiotów w garderobie. Ba, ale nigdzie się tu nie płaci za przechowanie i zwrot przy wyjściu. Garderobiany otrzymuje pensję. Ej, przeschepiłbym tę modłę na nasz rynek polski.

„Za sześćdziesiąt pięć kopiejek obiad z dwóch dań i herbaty, pożywniejszy i smaczniejszy skonstruowałem w samoobsługowej stołówce niż wczoraj w restauracji pierwszej klasy za dwa i pół rubla.

Klub Książki „Człowiek – Świat – Polityka” coraz popularniejszy

(AR) Klub Książki „Człowiek – Świat – Polityka” rozpoczął swoją działalność w czasie listopadowych Dni Książki Społeczno-Politycznej, obchodzonych pod tym hasłem w całym kraju. Celem Klubu jest dostarczenie drogą prenumeraty ludziom interesującym się sprawami światopoglądu, zagadnieniami społecznymi i politycznymi współczesnego świata, najwartościowszych pozycji, jakie ukażą się na rynku księgarskim w roku 1969.

Członkowie Klubu korzystają ze znacznych udogodnień przy wyborze i zakupie tych książek, przysługują im również specjalne premie książkowe. W związku z dużym zainteresowaniem działalnością Klubu — już obecnie liczy on około 15 tys. członków — organizatorzy przedłużyli termin zapisów do końca stycznia br. Wprowadzono również dalsze „przywileje” — mianowicie premie książkowe przysługują obecnie już przy deklaracji zakupu na sumę 100 zł, a nie jak poprzednio — 200 zł. Warto podkreślić, że uczestnikom Klubu zapewniono także pierwszeństwo w nabyciu książek z listy klubowej. Otrzymują je oni na 10 dni przed ukazaniem się ich na półkach księgarskich.

O wroście zainteresowań literaturą społeczno-polityczną świadczą także wstępne, niepełne jeszcze wyniki ostatnich „Dni Książki Społeczno-Politycznej”. I tak w księgarniach „Domu Książki” zakupiono wydawnictw z tej dziedziny na sumę 5 mln złotych — wobec 3,4 mln w analogicznym okresie roku 1967. W Klubach „Ruchu” sprzedaż literatury społeczno-politycznej wzrosła o około 40 proc. Zorganizowano w tym czasie ponad 5 500 wystaw, odbywały się liczne spotkania z autorami i imprezy cieszące się dużą popularnością we wszystkich środowiskach. Powodzenie tych imprez świadczy o tym, że listopadowe Dni trafiły w istotną potrzebę społeczną. Będą one imprezami stałą, organizowaną corocznie.



Telewizja przyszłości

Jak zdaniem futurologów wyglądać będzie telewizja przyszłości? Już dziś w niektórych krajach możliwe jest odbieranie programu telewizyjnego za pośrednictwem specjalnego kabla tzw. koaksjalnego. Zdaniem specjalistów, w okresie najbliższych 10 lat przesko 80 proc. odbioru telewizyjnego w USA oparty będzie o ten system. Kabel ten połączony z aparatami telewizyjnymi umożliwi odbiór dużej liczby programów — w przyszłości nawet powyżej trzydziestu.

Telewizja kablowa, czyli o wspólnej antenie, działa na tej samej zasadzie co radiotonia przewodowa. Za pośrednictwem kabla mogą być nadawane zarówno audycje otrzymywane drogą radiową, jak też programy specjalnie zrealizowane w tym celu w ten sam sposób jak w radiotoni przewodowej.

Mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych — czytamy w Biuletynie Telewizyjnym Ośrodka Badań Opinii Publicznej PR i TV — telewizor stanie się centrum komunikacji elektronicznej. Magnetofon domowy, tzw. „Home video recorder” będzie rodzajem magazynu, w którym przechowywane będą dźwięki i obrazy. Łatwo w obsłudze, jak zmieniać płyty, spełniać ma następujące funkcje: nagrywać spektakl telewizyjny, przekazywać go na życzenie w kolorze, a dzięki specjalnemu urządzeniu automatycznemu — także reelestrować program w czasie nieobecności telewizora. Pozwoli na odzwierciedlanie zakupionych lub wypożyczonych zestawów utrwalonych na taśmie spektakli, filmów, wykładów telewizyjnych itp. W skład kompletu tego urządzenia będzie wchodził również telekamera do nakręcania filmów w domu.

Podobno już w końcu lat siedemdziesiątych telewizor podłączony do systemu zwanego „fax” będzie mógł dostarczać różnorodnej lektury: prasy, książki, czasopisma. Połącząc się klawiszami (dzięki połączeniu telewizora z ośrodkiem mózgu elektronicznym) będzie można wstrząsnąć z katalogu dowolny program. Aparat taki nadawał będzie nie tylko audycje z zewnątrz, ale również da się wykorzystać dla telewizji domowej, o obwodzie zamkniętym. Miniaturowe telekamery zainstalowane w pokojach pozwolą na kontrolowanie dzieł w domu i w ogrodzie.

(Kt — PAP)

Udać nam się czasem spotkać człowieka, z którym możemy być sobą — jakież zmiany natychmiast widzą w nas inni! Cóż wtedy pozostaje nad tę jedną zmianną przywileju szczerości na przywileju milczenia? Cierpimy nad brakiem tego pierwszego, ale ze znaną wprawą poruszać każde się drugi. Bo jest to w końcu milczenie bynajmniej nie dosłowne, ba, czasem to milczenie szczerości objawia się gadatliwością zewnętrzną, urodą komplementów, poprawnością gawędy, bliskością inteligencji, które składają się na pyszny orszak konwensansu.

Nie lubi się na ogół tego słowa i przypina go jak fałszywy kamień, by dodawało blasku życiu, ale czy kto kiedy zastanowił się nad niewygodą, płynącą z jego braku? Czy w ogóle ktośkolwiek wymaga od nas szczerości zawsze i w każdej sytuacji? Czy komplikacje, jakie nieuchronnie ciągnęłyby za sobą, czyniłyby to życie, a raczej współżycie w ogóle możliwym?

Wychowanie obdarza nas zatem konwensansem, jako przywilejem, pozwalającym na ucieczki w głąb samego siebie. Istnieje więc realna, historia potwierdzona potrzeba konwensansu. Ale tuż obok istnieje także świadomość, czym jest konwensans. Umieszczeni po-

środku, gdzieś między potrzebą a świadomością właśnie, budujemy na własny użytek zręczne kompromisy i trwamy w nich niby w wygodnym ubraniu, zapominając czasem, że każde wygodne ubranie ma przeważnie przetarte łokcie i wyblaszczone siedzenia.

Odczuwamy potrzebę przyjaźni, starą jak samo życie. Odkąd siebie pamiętam, penetrowałam moich znajomych właśnie pod tym kątem i ileż ich w końcu zaliczyłam do tej najwyższej kategorii sojuszników własnych poglądów, świadomości? Im dalej w lata, tym są bardziej wypróbowani, ale zarazem uszczupla się ich grono. Tym większa dysproporcja występuje między potrzebą a brakiem przywileju przyjaźni, którym ludzkość w sposób piękny i za pomocą metody opartej na szczerości absolutnej samą siebie obdarowała.

A przecież w końcu tracimy przyjaźni przez nadmiar szczerości. I obojętne czy będzie to z naszej strony popadanie w nadmierny ekshibicjonizm, grzebanie się we własnych grzechach i niedoskonałościach, czy zanurzymy się niebezpiecznie w oceny tych przyjaźni z myślą o ich korzyściach li tylko — efekt murowany, że rozbije się sprawa o brak konwensansu,

który w przyjaźni jakże często bywa luksusem.

Pamiętasz naszego kolegę ze studiów, o którym tyle rozmów prowadziliśmy i któremu tyle życzliwego zainteresowania poświęciliśmy, ani wiedząc, że o drobniacz się ono rozbije? Lata całe poszły w niepamięć, gdy wyrzekła jedno głupie słowo o przemijaniu, starzeniu czy kruchości urody. I nie to, że miałam rację, że i mnie żal było jego żywości spojrzenia niegdyś siejszej, że i mnie smuciły jego zmarszczki, nadmierna chudość kiedyś przystojnej postaci; sam nie dostrzegł jeszcze nieuchronnego procesu niszczenia, toteż nie czas było komukolwiek o tym mówić. Potrzeba przywileju admiratorów trwała w jego świadomości, a ja podjęłam się niewdzięcznej roli rozbiaczka złudzeń!

Gdybyż rzecz tylko ograniczała się do przyjaźni. Iuż to wrogów tworzymy sobie nieświadomie, rezygnując z przywileju konwensansu na rzecz szczerości! Czyż kiedy policzył tych wszystkich, którym byłęś życzliwy w sposób surowy i zgodny z prawdą? Ileś ukłoniów stracił, z rządu tych najbardziej czolobitnych nawet? Ile awansów przeszło Ci mimo nosa? Ile atrakcyjnych propozycji nie zostało wypowiedziane, bo z Tobą i tak nie warto rozmawiać?

W sumie — wszyscy, podejrzewając Cię o własne zdanie na niepopularne tematy, wołają o wygodne milczenie, komplement rzucony mimochodem, ot tak, na odczepne, kochają wręcz Twoją zadowoloną twarz — w miejsce rzeczowej a niewygodnej analizy sytuacji. I pomalutku, nieomal bezboleśnie uczymy się żyć w złotym środku świętego spokoju, korzystając coraz precyzyjniej z przywileju konwensansu, przywileju — nie waham się użyć tych słów — ukutego na użytek społecznej harmonii.

Z braku przywilejów rodziły się rewolucje i oczyszczały teren w imię potrzeb prawdziwych. Ludwik-Stońce powie: „Państwo to ja”, a co było potem, to już dzieci w szkole podstawowej wiedzą z historii; nieco śmieszniej rzecz brzmi, kiedy napuszony Iksiński, niczym Półpanek z bajki Konopnickiej, zwierza mi się pod dwóch wódek, że wykończy Ypsylonkiewicza, a nieświadom sprawy Ypsylonkiewicz dwa stoliki dalej śle w tym czasie ukłon czolobitny; Iksiński niczym Le Roi du Soleil przykładają dłoń do piersi, czyni głęboki skłon tułowia i odpowiada najczarowniejszym z uśmiechów. Potem, przy wyjściu lekko jeszcze poszamoczą się w drzwiach, zaczną rozejść się

w swe strony — każdy zachwycony sobą; Ypsylonkiewicz tylko nieświadom, że przepuścił wroga, którego nie przecież nie kosztowała ucieczka w wyświechtany środek taktyczny czyli przywilej konwensansu. Nie sądzisz, drogi, że powściągliwe milczenie byłoby szlachetniejsze w ostatecznych intencjach, po prostu tak nie rozjątrzałoby?

Wiem, co odpowiesz, z góry wiem, i wiem, że wyciągniesz po raz setny przykład z szefem w nowym ubraniu, który miał to nieszczęście, że zapragnął zasięgnąć Twojej opinii o swoim wyglądzie. Prześladuje mnie ten obrazek na tyle długo i tak dotykalnie cięży mi Twoje bezkompromisowe milczenie w tamtej chwili, że z góry Cię rozgrzeszam za jakiegokolwiek próby przekonywania mnie, iż często racja bywa po stronie wygodnego przywileju...

Cóż jednak uczynić z przestrzenią, jaką wytwarza potrzeba w drodze do świadomości, czym ją zapelnąć, jak ją nazwać, jak zlikwidować może?

Czekam niespokojnie na Twoje słowo i uciekam na ten czas z powrotem do „Ambasadorów” Henry Jamesa, Amerykanina o duszy europejskiej, tropiącego zaciekle ślady europejskiego konwensansu.

KRYSTYNA



Kultura polska na świecie

O TWÓRCZOŚCI PUTRAMENTA W ZSRR

Grudniowy numer czasopisma „Inostrannaja Literatura” przynosi obszerną recenzję M. Ignatowa z polskiego wydania tomu opowiadań J. Putramenta „Puste oczy”. Ignatow przypomina jednocześnie, że tytułowe opowiadanie drukowane było w przekładzie J. Mirskiej w miesięczniku „Znamia”. Ten sam 12 numer „IL” zawiera również informację o wydaniu przez PIW nieznanego dotychczas powieści St. T. Witkiewicza „Jedynę wyście”.

WITOLD ROWICKI DYRYGUJE W LONDYNIE

W sali Royal Festival w Londynie poprowadził dwa koncerty symfoniczne Witold Rowicki, znany angielskim melomanom z licznych występów w tym kraju. W programach koncertów znajdowały się utwory Prokofiewa, Dworzaka, Mozarta, Strawińskiego i Liszta.

„OGROD PANA NIETSCHE” W NRD

W NRD-owskim wydawnictwie Volk und Welt ukazała się powieść Kornela Filipowicza „Ogród pana Nietzsche”. Na język niemiecki przełożył Heinrich Olschowsky.

ORKIESTRA KAMERALNA FN W GALERII DREZDEŃSKIEJ

Zespół Kameralistów Filharmonii Narodowej pod dyr. Karola Teutschera wystąpił w słynnej Galerii Drezdeńskiej, na jednej z imprez ze stałego cyklu „Galeria koncert”. Solistą koncertu był altowiolista Stefan Kamasa. Warszewscy kameraliści dokonali również nagrań. W programie koncertów znajdowały się m. in. utwory Grażyny Baciewicz.

ARTYKUŁ JERZEGO GROTOWSKIEGO W CZASOPISMIE „FRANCE-POLOGNE”

Najnowszy numer wydawanego przez Stowarzyszenie Przyjaźni Francusko-Polskiej przeglądu „France-Pologne” przynosi artykuł Jerzego Grotowskiego. Kierownik wrocławskiego Teatru-Laboratorium omawia wyniki konferencji zwołanej w Ośrodku PAN w Paryżu w związku z występami tego zespołu jesienią ub. roku we Francji.

WĘGERSKI PRZEKŁAD POWIEŚCI CENTKIWICZOW

Powieść Aliny i Czesława Centkiwiczów o norweskim zdobywcy Sieguna Poludniowego Roaldzie Amundsenie pt. „Człowiek, o którego upomniało się morze” ukazała się w przekładzie węgierskim. Książkę w tłumaczeniu Ewy Sebok wydało w 17500 egzemplarzach wydawnictwo Tauscsics Koenyvkado.

(Kf — PAP)

Nieznane listy Prusa

Przed dziesięć laty Państwowy Instytut Wydawniczy przygotował tom listów Bolesława Prusa w opracowaniu Krystyny Tokarżówny. Objął on całą znaną korespondencję tego wielkiego pisarza, zgromadzoną w muzeach, bibliotekach i zbiorach prywatnych. W postawie tego wydawnictwa Krystyna Tokarżówna wyraziła przypuszczenie, że istnieją jeszcze w kraju inne nie ujawnione dotychczas listy. Zdołyte ich umożliwiłoby sporządzenie następnego poszerzonego wydania korespondencji Bolesława Prusa. Niedawno nadzieje Krystyny Tokarżówny zrealizowały się. Muzeum w Nałęczowie otrzymało ofertę zakupu 48 nieznanych listów autora „Lalki”. Oczywiście skorzystało ono z propozycji i dzięki temu nałęczowskie zbiory korespondencji tego wielkiego pisarza, liczą-

ce dotychczas 130 egzemplarzy, wzbogaciły się o nowy i cenny materiał badawczy, ściśle związany z jego życiem. Listy te pisał Bolesław Prus do swego przyjaciela i doradcy prawnego mec. Antoniego Osuchowskiego. Adresat zmarł w roku 1928 i wówczas oddano na licytację jego księgozbiór i archiwum. Nieznanymi drogami listy Bolesława Prusa trafiły do rąk prywatnych, aby po kilkudziesięciu latach znaleźć się w zbiorach w Nałęczowie.

Są one obecnie przedmiotem wnikliwych badań, prowadzonych przez kustosa Muzeum w Nałęczowie, mgra Tadeusza Klaka.

Na zdjęciu: mgr Tadeusz Klak oraz fotokopia jednego z listów Bolesława Prusa.

CAF — HUZAR

Józef Półciwiartek

Kto był budowniczym organów leżajskich?

Wzrastający ruch turystyczny w Rzeszowskim obejmuje w coraz większym stopniu nie tylko Bieszczady, Łańcut, Przemyśl, ale i szereg innych miast i miasteczek o wspaniałych walorach krajozabrowych i mało znanych dotąd obiektach architektonicznych czy zabytkach przyrody żywej. Do takich odkrytych niedawno miejscowości należy niewątpliwie Leżajsk, gdzie obok klasztoru o.o. bernardynów z pierwszej połowy XVII w. (barokowy kościół bernardynów z lat 1618—1628 i klasztor z 1637 r.) godny odnotowania jest zameczek Potockich z drugiej połowy XVII w., modrzewiowy dworek podstarościego z XVII w., zespół architektoniczny fary leżajskiej z pierwszej połowy XVII w., wiele mieszczkańskich kamieniczek z XVII i XVIII w. Niedalekie okolice Leżajska zainteresować mogą turystę jedynym stanowiskiem azalii pontyjskiej w granicach obecnej Polski (Wola Zarczycka). Wiele uroku odnaleźć można we wspaniałych miejscowych lasach mieszanych, w nowoczesnej architekturze Leżajska i wsi podleżajskich.

Jedną z największych osobliwości Leżajska to niewątpliwie organy barokowe w bazylice leżajskiej o.o. bernardynów, jedne z największych na świecie, nie też dziwne, że stała impreza ogólnopolska Dni Muzyki Kameralnej w Łańcutcie, włączyła Leżajsk z jego organami w stały program. Tutaj koncertował o-

statnio (14 maja ub. r.) wielki artysta, znany szeroko w świecie, Joachim Grubich, młody wykładowca PWSM w Krakowie.

Stawa organów leżajskich wymaga zatem baczniejszego spojrzenia na twórcę tego instrumentu, powszechnie bowiem łączenie z organami osoby znanego krakowskiego organmistrza Jana Głowińskiego, nie wytrzymuje obecnie krytyki w świetle najnowszych badań naukowych. Nie jest też prawdą, by budowa organów zakończona została w 1682 r. Data rozpoczęcia prac przy organach nie jest dotąd znana, wiadomo jedynie, że budowę rozpoczął były gwardjan konwentu leżajskiego, o. Jan Wałowicz, przed 1680 r. Jak świadczą materiały archiwalne budowę powierzono nie J. Głowińskiemu, jak głosi powszechnie literatura drukowana, lecz organmistrzowi z Przeworska, Stanisławowi Studzińskiemu. Praca jednak Studzińskiego nie dała w efekcie spodziewanych rezultatów. Organy okazały się fałszywe w dźwiękach, stąd też zebrana w Sokalu kapituła zakonna w 1687 r. przekazała prace nad naprawą i przebudową organów Głowińskiemu. O osobie Studzińskiego brak bliższych danych, jak i ewentualnie innych zbudowanych przez niego organach, nie można zatem przeprowadzać ostatecznych wniosków o tym nie znanym dotąd organmistrzowi. Wydaje się jednak, że był raczej fachowcem drugorzęd-

nym i twórcą niedużych obiektów, skoro nie mógł do końca podoleć wymogom klasztoru, wzniesione jednak przez niego dzieło niewiele wymagało zmiany. Głowiński ograniczył się jedynie do uporządkowania i zharmonizowania piszczałek oraz wzmocnienia fundamentów (cokołów) szaf wystawionych przez poprzednika. Przy okazji, być może, iż wprowadził pewne drugorzędne innowacje, dokumenty nie jednak o tym nie wspominają. Całkowite ukończenie prac przez Głowińskiego nastąpiło we wrześniu 1693 r., a nie wcześniej. Definitywną zatem datą ukończenia prac przy budowie organów uznać należy 1693 r. Pewne prace dekoracyjne i złoceniowe prowadzono tam jeszcze w pierwszej połowie XVIII w. Organy leżajskie nie są więc wyjątkową zasługą Jana Głowińskiego, ale co najmniej w równym stopniu Stanisława Studzińskiego z Przeworska.

Wrażliwy na wahania temperatury instrument wymaga częstszych napraw. Pierwszą większą renowacją organów przeprowadzono w latach 1776 do 1778, a w niecały rok później wymagały znów gruntownego odnowienia. Trzeciej restauracji dokonano w latach 1903—1906 pod kierunkiem Aleksandra Zebrowskiego, znanego wówczas organmistrza lwowskiego. Była to równocześnie mała przebudowa strony muzycznej organów, przy której okazji nastąpiły pewne

zmiany w istocie i wyglądzie zewnętrznym organów. W okresie międzywojennym (1929 r.) miała miejsce czwarta gruntowna naprawa instrumentu, po ostatek natomiast wojnie zmodyfikowano mechanizm organów. Mimo wielokrotnych remontów i pewnych przeróbek strony muzycznej (dodano między innymi nowsze głosy) organy zachowały się w świetnym stanie do dzisiaj.

Remonty spowodowały jednak, że istnieją obecnie 3 odrębne i samodzielne organy, a to w nawie głównej jeden (40-głosowy) i dwa w nawach bocznych (12- i 10-głosowe). Wszystkie mają wspólne młochy poruszane elektrycznością, które przeprowadzają powietrze do poszczególnych organów. Kiedyś musiał to być jeden instrument tak skonstruowany, że można było grać na głównym i bocznych równocześnie. Ilość głosów wynosiła wówczas 64.

Organy leżajskie, a szczególnie organ centralny w nawie głównej, uważa się za najokazalszy przykład instrumentu barokowego w Polsce XVII wieku. Posiadają znaczenie ogólnonarodowe i wymagają szerszego popularyzacji i ich większego wykorzystania przez społeczeństwo. Stale rosnące zainteresowanie organami leżajskimi winno zmobilizować odpowiednie władze i stowarzyszenia do ich stałego wykorzystania na wzór organów oliwskich.

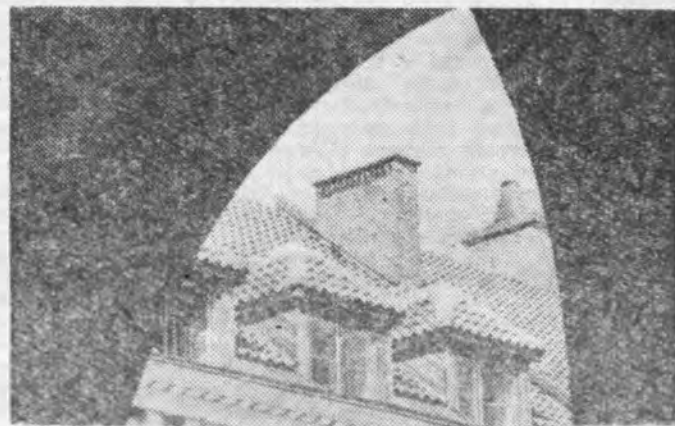
Barbara Pocięj

Dom, dlaczego dom

skrzydła szczelnych drzwi
ogień stygnie na ścianach
uparte światło i zmrok
fotel zamknięty poręczą
stół chleb
stół głowa w rękach
cudze zmęczenie które pragnie odpocząć we mnie
dom
wilgotna poduszka
uśmiech został przed progiem
odprężenie i skok
szczęście miękkich skrzydeł
rozpacz szczelnych drzwi
— przede wszystkim dom?



Dotykałam gładkiego bezpieczeństwa ścian
szorstkiej czułości podłogi
biegłam z odkrytą głową
rozwiązując szeroko ręce
odpychając ciepło ciała
przywierałam do chłodnych serc
długo
uczyłam się ucieczki do domu
w obojętność
kryjówek w wietrze i miłości
— dom wiatr czułość czy chłód
co mnie ochroni przede mną —



● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● Dyskusje ● KORESPONDENCJE ●

Czesław Piotr Kondraciuk

O poezji, ale inaczej...

Coś się zaczyna dziać w naszym młodym środowisku twórczym. To coś, jest dla mnie bardzo miłą niespodzianką i zapowiedzią przyszłego dialogu z odbiorcą. Oby tylko nie skończyło się na radości.

Mam tu na myśli artykuł mojego kolegi T. Piekły, „Noworoczna kolumna KKMP” zamieszczony w nr 2 „Widnokregu” z dnia 12 stycznia br. Do całości wypowiedzi nie będę się ustosunkowywał, gdyż nie zachodzi taka potrzeba. Artykuł dotknął w zasadzie ogólnie znanych prawd, wyraził trochę sądów i opinii, był w pewnej swej części formą dziękczynną za użyczoną nam przez redakcję gościnność, a więc posiadał wszystkie cechy artykułu. O pardon! Trochę się zagalopowałem. Zresztą sam autor używa podobnego sposobu określeń

przy omawianiu niektórych utworów kolumny noworocznej. Cytuję fragment: „Ludomir Mazela to dobry poeta — przekonał mnie o tym swoimi wierszami wielokrotnie. Jednakże jego wiersz „Pod Cergową”, wyrwany z całego cyklu jest dość przeciętny, a ostatnia linijka „rdzawe znalezisko wieku dwudziestego” — to wyraźna usterka warsztatowa. Ale mimo wszystko — to jest na pewno wiersz... (koniec cyt.) Czyżby? A może to zwykła notatka służbowa, co? Albo taka sobie niezamierzona satyra? Tak czy inaczej moje pretensje do Szanownego Kolegi nie wynikają jedynie z tej usterki. Z tym byłoby pół biedy. Mnie uderzyła wygórowana pewność autora w wypowiedzianiu swoich (dość wątpliwych) sądów. Czy nie lepiej było zostawić je czytelnikom? W związku z tym niech i mnie wolno będzie zapytać skąd się wzięła u T. Piekły taka ugruntowana dojrzałość artystyczna? Czy przypadkiem nie wynika z owego samouspokojenia i satysfakcji? Sądzę, że za dużo padło w cytowanym artykule „ograniczeń rekwizytów”, „nikłości” etc. etc.

Już od kilkunastu lat śledzę ze zmienną dokładnością ruch edytorski młodych. Od kilkunastu lat gubię się w chaosie nazw, określeń, terminów, sloganów i pojęć. Bardzo często z tej przebogatej lektury ocen trudno mi wybrać tę najprawdździwszą — najbardziej rzeczową. Ciągle słyszy się: bełkot, niezrozumiałość, albo: ograne, oklepane, etc. Tak źle i tak niedobrze — więc jak?

Wydaje mi się, że owa przesadna pseudonowoczesność zaczyna miejscami przekraczać granice dźwięku. Trudno się dziwić, że w rozbudowanym adekwatnie do potrzeb światła krytycznym, bardzo często nie można doszukać się jakichś ostatecznych — definitywnych rozwiązań. Tadeusz Piekło próbował dotknąć tych spraw, lecz znieśliśmy prądem ważności ograniczył się do maleńkiego pranka na skórkach własnych kolegów. Mówiąc o tym przychodzi mi na myśl pewne smutne wydarzenie: oto jeden z myśliwych chcąc zapolować na dziki zamiast dzika postrzelił swojego przyjaciela. Cóż, bywa

i tak. Ale do rzeczy. Prawda jest, iż szczególnie w ostatnich latach wzmożł się wyżył demograficzny wśród poetów. Owa łatwość tworzenia poparta wyszukaną nowoczesnością niejednemu przewróciła w głowie. W pogoni za nowością określeń, młodzi bardzo często zapominają o odpowiedzialności za słowo — za jego wartość poetycką. W materiałach V Zjazdu PZPR czytamy między innymi: „Respektując w pełni swobodę twórczą w doborze środków wyrazu artystycznego, w poszukiwaniach warsztatowych, w kształtowaniu nowych form we wszystkich dziedzinach sztuki, szczególnie poparcia udzielamy tym poszukiwaniom twórczym, które najlepiej służą ideom socjalistycznym i potrzebom najszerzych kręgów społecznych. Chcemy, aby kultura i sztuka polska lepiej i pełniej odzwierciedlały prawdę i bogactwo życia duchowego naszego budującego socjalizm narodu”. Jak wynika z tych słów, poezja to nie tylko nowoczesność formy, jej niekiedy nietytułowana hermetyczność. Poezja winna czerpać z duchowych wartości narodu i nadawać im coraz wspanialsze kształty. Zujemy przecież w okresie ogromnych przemian, gdzie istnieje szczególna potrzeba umacniania poczucia odpowiedzialności społecznej samych twórców za to, co chcą społeczeństwu przekazać. Odrzuwanie poezji od tych spraw jest więc niemożliwe. Dlatego też zabierając głos pragnę zachęcić do dyskusji szerokie grono czytelników, tych, co to od czasu do czasu stykają się z naszą i nie tylko naszą twórczością. Niech powiedzą co o niej sądzą, jaka jest i jaka ich zdaniem być powinna.

Pomysł Redakcji wprowadzający dyskusyjny kącik „rozmowy o wierszach” jest moim zdaniem pomysłem kapitalnym, pozwalającym na rozwinięcie szerokiego dialogu pomiędzy twórcą a czytelnikiem. Jest to jedyna droga do rozwiązania wielu problemów i nadania twórczości poetyckiej odpowiedniej roli w życiu socjalistycznego państwa — w życiu narodu.

CZESŁAW P. KONDRACIUK

Co mają wspólnego spodnie z Pantalowicami?

SZANOWNA REDAKCJO!

W pierwszym numerze „Widnokregu”, jaki ukazał się tego roku można zobaczyć artykuł, który mówi o wsi Pantalowice, w pow. Przeworsk.

W pewnym miejscu p. Zbigniew Wawrzyszczak (autor artykułu) stwierdza:

„Nie udało mi się zgłębić zagadki, jaką kryje w sobie nazwa Pantalowice. Więc chyba bierze się od wyrazu włoskiego pochodzenia... pantalon, czyli mówiąc inaczej spodnie. Może od imienia Pantaleone — postać starego kupca z comedii dell'arte”.

Chciałam wytłumaczyć więc, jak właściwie jest z tą nazwą Pantalowice! Czy rzeczywiście nazwa pochodzi od spodni, a jeżeli nie, to co ma z nimi wspólnego. Odpowiadam, że nazwa ta nie pochodzi od spodni na pewno. Po pierwsze dlatego, iż w taki sposób nazwy miejscowe nie były w Polsce tworzone, po drugie, nazwa spodni pantalonów nie jest nazwą samodzielną, gdyż pochodzi od imienia własnego Pantaleone.

Więc może nazwa pochodzi od imienia komicznej postaci z comedii dell'arte — Pantaleona?

Wypada również zaprzeczyć, gdyż tego typu komedia rozpowszechniła się dopiero w XV—XVII wieku i wtedy dopiero poznaliśmy śmiesznego kupca Pantalona, Arlekina, Kolombinę i inne postaci. A Pantalowice są wsią starą i swoim początkiem sięgają chyba wieku XIII, na co wskazuje ufundowana już w roku 1383 przez Febroniusza z synem Spytymem parafia rzymsko-katolicka. (P. Chmielowski, „Słownik geogr. Król. Pol. i ziem sąsiednich” t. 1886).

A już w dwa wieki później, czyli 1693 r. parafia postawiła drewniany kościół a Pantalowice liczyły prawie 1000 mieszkańców. Tak więc, jak z tego wynika nazwa Pantalowice jest starsza i od comedii dell'arte i od przejścia na nasz polski grunt nazwy pantalon. Bo pantalon wychodzi również z comedii dell'arte.

Pantalowice jest to nazwa, która określa przynależność tej wsi do człowieka (imieniem Pantaleon). Mógł być to pan wsi, dzierżawca lub nawet jakiś ważny „kmiś”. Jest to jednak nazwa tzw. dzierżawcza. Jest to oczywiście hipoteza, gdyż odkąd istnieją najstarsze zapisy o Pantalowicach nie można uświadczyć tam Pantaleona. Dowiadujemy się jednak, że kolejno dzierżawili je Siennowscy, Korczy-

cy, Drohojowscy, Ruccy, Ulaniecy, a od XIX w. już były dwa a potem trzy folwarki.

Tak więc nazwa pochodzi od imienia Pantaleon i ma za podstawę swojej nazwy Pant — i formant — owice. Tak samo od imienia nazwana jest wieś niedaleko od Pantalowic, położona, Mikulice (od imienia Mikula, czyli Mikołaja).

Ze były tworzone nazwy od imienia Pantaleon świadczy choćby nazwa także, jak: Pantaleonowa, Pantal-ian, Pantal-icha, Pantal-onowo i wreszcie Pantal-owice (Przykłady ze „Słown. geogr. Król. Pol.”... P. Chmielowskiego).

Skąd jednak mamy to imię Pantaleon na gruncie polskim? Czy tylko z comedii dell'arte? Pantaleon to imię już dzisiaj uchodzące za staroświeckie. Ale w XIX w. jeszcze używane. Należy jednak w Polsce do imion bardzo rzadkich (dlatego też mogło służyć na wyróżnienie „wsi Pantaleona” — Pantalowic).

W ciągu XIX w. Pantaleon jest imieniem niejednokrotnie wracającym do komedii czy powieści na określenie jakiejś komicznej postaci, taką jest np. Pantaleon hrabia Majonez w komedii Wilkońskiego „Emancypacja Sabiny”.

Nie tylko komiczne postacie nosiły to imię. Spotykamy je przecież wśród elektorów Jana Kazimierza, Sobieskiego i St. Augusta. (J. Bystron „Księga imion w Polsce używanych”).

A Święty Pantaleon, jak legenda głosi, był lekarzem przybocznym cesarza Maksymiliana; leczył za darmo i majątek rozdał biednym, pomógł śmierć męczeńską za Dioklecjana. Kult jego szerzył się szczególnie od końca IV w., jest patronem lekarzy i mamek, chroni od chorób, jest też popularnym patronem bydła. Imię to razem z kultem Pantaleona przyszło do Polski razem z chrześcijaństwem.

Tak więc imię Pantaleon ma piękną i bogatą historię i tylko tym może być dla wsi Pantalowic, że od niego wzięła swoją nazwę.

Dlatego nie ma potrzeby wywodzić nazwy wsi Pantalowice ani od bohaterów śmiesznych z comedii dell'arte, ani od spodni. Choćby zapewne jakieś powiązania między spodniami a Pantalowicami są. Łączy je choćby imię Pantaleon, od którego i wieś i spodnie nazwę sobie wzięły!

Małgorzata Nyrka w r PP
Wyższa Szkoła Pedagogiczna
Rzeszów

Wiesław Kulikowski „Równaj w prawo”

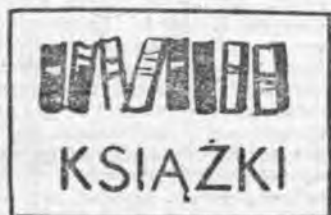
Autorzy noworocznej kolumny KKMP zapewne nie wiedzieli, że w krótkim czasie znajdują się w innej, ćwiczebnej kolumnie „wojskowej”, dowodzonej przez samowolnego starszego szeregowego kol. Tadeusza Piekła. Tymczasem kol. Piekło zsiadł z „Pegaza”, uformował KKMP-owców w dwusereg, wydał rozkaz: „równaj w prawo” i zabrał się do spełnienia swych „koleżeńskich” obowiązków w iście wojskowy sposób.

Ja również ujemnie oceniam noworoczną kolumnę wierszy zamieszczoną w „Widnokregu”, z tą tylko różnicą, że moje cenzurki dla poszczególnych wierszy skierowały się do niektórych cenzurkami kol. Piekły.

Na „widnokregu” utrwalonego drukiem niekiego życia literackiego Rzeszowa (w „Widnokregu”) wiersze nie pojawiają się stadami. Każdy autor chciałby widzieć jak najwięcej swoich wierszy drukowanych — i to nie tyle satysfakcjonuje, ile dopomaga w rozwoju. Dlatego zarzuć o tym „samouspokojeniu” z powodu druku wydaje mi się być nie na miejscu. Czyżby niektórzy autorzy byli aż tak naiwni, że satysfakcjonowałoby ich wydrukowanie jednego wiersza? Śmieszny mnie to bardzo. Mój wiersz ocenił kol. Piekło bardzo przychylnie, przeciwstawiając go wierszowi kol. Żołowskiego, stojącego w kolumnie za moimi plecami. Nie uważam jednak, by kol. Żołowski z powodu wydrukowania wiersza miał aż tyle satysfakcji... Uważam, że bardzo ważną sprawą jest to, by autor mógł siebie sprawdzać w druku i by był zawsze wobec siebie samokrytyczny. Nawet wydrukowanie złego wiersza jest czasem potrzebne, by autor mógł wstydzić się za niego wobec siebie i wobec czytelników. Uważam, że wzajemna krytyka jest jak najbardziej potrzebna, w jej ogniu rodzą się rzeczy dojrzałe, ale mentorski ton „rozmowy o wierszach” kol. Piekły, publiczna krytyka wierszy autorów, którzy nie za często widzą swoją twórczość na łamach prasy, jest przysłówowym strzelaniem z armaty do wróbla.

Należałoby pomyśleć o bardziej dojrzałej formie akcji warsztatowej twórczego nas wszystkich.

Wiesław Kulikowski



Jan Gerhard: ZWYCIĘSTWO. T. I. Żołnierze i dyplomaci, T. II. Wielkie intermezzo, T. III. Berlin 1945. MON, s. 536+442+432, cena całości zł 96.

Płodny jest ten znany Rzeszowski pisarz. W małych odczynkach czasowych otrzymujemy coraz to nowe książki, jak zwykle frapujące. W 23-lecie Polski Ludowej, w niepełnym roku po „srebrnych godach” odrodzonego Wojska Polskiego, nowa pozycja. Wraca w niej autor do formy reportażu faktograficznego. Obejmuje okres od jesieni 1944 do wiosny 1945 roku. Fronty: wschodni i zachodni. Walka żołnierska i dyplomacji. Na frontach leży się jeszcze krew, w głębi kraju zaczyna się pokojowa p.a.a., odbudowa zniszczonej przez okupanta Polski. Wielka panorama bitwy o Berlin. Wyzwolenie przez polskich żołnierzy terenów Czechosłowacji. Erudycja autora i naracyjny talent zapewniają interesującą lekturę.

Wiesław Rogowski: NIEPEWNOŚĆ. Wyd. Morskie, s. 172, cena zł 10. Znany szczeciński pisarz i dziennikarz podejmuje temat nie nowy wprawdzie, ale stale intrygujący.

Syn znajduje ślady nie żyjącego od czasów wojny ojca. A ojciec pod prośbą popisał wojskiste i walczył w szeregach Wehrmachtu. Morała ocena tego czynu.

Zbigniew Krempf: RYKOSZETY. Wyd. Poznańskie, s. 184, cena zł 12. Podobny w zasadzie temat. Ge nazywa polskiego chłopca, prowadzona przez przybranego ojca. Słony naski hitlerowskiej maszyny p.opagandowej na ludzi. Pierwsza sfanatyzowanego społeczeństwa. A zarazem poczucie polskiej dumy narodowej.

Halina Rozwadowska: CIENIA DLA LEOKADII. MON, s. 296, cena zł 18. Debiut i to udany. Z pasją i realizmem kreśli autorka na tle panoramy czasów przedwojennych i okupacji losy młodej dziewczyny. Skrzywdzona ciężko przez wojnę, w oddziale partyzanckim mści śmierć swych bliskich.

Andrzej Przyppkowski: ULICA MIŁOŚCERDZIA. MON, s. 234, cena zł 13. Kilka tygodni temu sygnalizowałem książkę tego interesującego autora. Akcja omawianej powieści toczy się również we Francji w czasie okupacji. Również bohaterem jest Polak, pracownik komórki wydawczej. Również wiele elementów sensacji mającej oparcie w faktach. Również ciekawa lektura.

Stanisław Grzesiuk: PIĘĆ LAT KACETU. Wyd. V. KiW, s. 440, cena w broszurze zł 25, w płótnie zł 30. Kolejne wzmocnienie wspomnień dziecka warszawskiej ulicy. Od 1940 do 1945 roku był autorem w niemieckich obozach: Dachau, Mauthausen i Gusen.

Jerzy Lutowski: OSTATNI PO BOGU. Wyd. Morskie, s. 168, cena zł 15.

Sfilmowana w roku 1968 powieść, której autorem jest lekarz, twórca głośnego niegdyś dramatu „Ostry dyżur”. Właśnie Lutowski jest autorem scenariuszy do filmów „Pociąg”, „Czerwone berety” oraz „Pan Wołodyjowski”. Oczywiście na podstawie powieści H. Sienkiewicza. „Ostatni po Bogu” to powieść z życia marynarzy okrętów podwodnych. Autor sam pływał i poznał życie podwodniaków.

Tadeusz Kuła: ANATOMIA KLAMSTWA. Wyd. Morskie, s. 382, cena zł 30.

Poprzednia książka tego przedstawiciela młodego pokolenia „Imiona zbrodni”, otrzymała nagrodę „Polityki” za najlepszą publikację z dziedziny historii najnowszej. „Anatomia kłamstwa” to analiza i krytyka antypolskich poczynań niemieckich w okresie ostatniego półwiecza, ze szczególnym uwzględnieniem okresu powojennego. Co mówi się w NRF o Polsce, o naszej polityce, o nas samych? Do jakich kłamstw i fałszerstw uciekają się zachodniomierzący propagandyści? To temat tej książki.

Kryszyna Sierocka: POLONIA RADZIECKA 1917—1939. Z działalności kulturalnej i literackiej. PIW, s. 290, cena zł 30.

Pierwsza to chyba próba monograficznego ujęcia tematu. Działalność Polaków w ZSRR w okresie międzywojennym. Praca naukowa.

Andrzej Drawicz: LITERATURA RADZIECKA 1917—1967. Pisarze rosyjscy. PWN, s. 348, cena zł 20. „Omega”.

Podrecznikowy charakter tej publikacji ułatwia zorientowanie się w ruchu literackim naszego wschodniego sąsiada na przestrzeni ostatniego

pięćdziesięciolecia. Zawiera indeks autorów. Aneks.

Jeannine Auboyer: ŻYCIE CODZIENNE W DAWNYCH INDIACH. (Wiek ok. II p.n.e.—ok. VII n.e.). Przeł. A. Ługowski. PWN, s. 294, cena zł 50. Bogato ilustrowana pozycja z prowadzonego od kilku lat cyklu.

Marcelin Defourneaux: ŻYCIE CODZIENNE W HISZPANII W WIEKU ZŁOTYM. Przeł. E. Bąkowska. PWN, s. 216, cena zł 45.

Równie bogato ilustrowana pozycja z tego samego cyklu.

NOWOŚCI POEZJI:

Stanisław Dąbrowski: DNO WIDNOKREGU. Wyd. Morskie, s. 132, cena zł 10.

Debiutował w 1956 roku. Kolejny tomik.

Maria Kalota-Szymańska: OTWIERANIE GRANIC. Wyd. Morskie, s. 108, cena zł 10.

Debiutowała w 1960 roku. Jest to jej trzeci tom.

Mieczysław Czychowski: PROGRESJE. Wyd. Morskie, s. 80, cena zł 10. Ten laureat „Czerwonej róży” debiutował w 1956 roku. Również trzeci tomik.

Iwan Draz: DO ŻRÓDEŁ. Wybrał Jerzy Pleśnarowicz. PWN, s. 50, cena zł 10. Poeta radzieckiej Ukrainy.

Robert Graves: WIERSZE. Wybór i przekład B. Taborski. PWN, s. 64, cena zł 10. Poeta angielski starszego pokolenia.

Kartki dla Ewy

Sława

Jedna pani ma wielkie pretensje do życia, iż nie przyniosła jej rozgłosu. A zabiegała o to wiele lat z igraszką kobiecą gorliwością i uporem maniaka. W młodości kokietowała wujkiem ministrem i tatą dyrektorem, potem wpływowym mężem i bogatą teściową. Próbowana swych sił na deskach scenicznych w piosenkarstwie i literaturze. Wszystko miało przynieść rezultaty, gdyż każdy krok był obliczony na efekt. Tymczasem generalna kłapa, sukces nie przyszedł. Nie było wywiadów i recenzji, nie rozdawała autografów. Ustosunkowaną rodzinę wyeksplodowano na zieloną trawę, a cierpliwy dotychczas mąż wściekł się o dziury w skarpetkach. Pani bowiem w trakcie pracy nad sławą zapomniała o rzeczach tak prozaicznych, jak codzienny chleb. Często zresztą brakło na niego pieniędzy, były inne wydatki mające na celu olśnienie bliźnich — lustro z Desy, empirowe biurko. Niestety, tego ugryźć się nie da, a najwspanialsze empirowe meble nie zastąpią kotletów. Słuszne więc rodzina miała pretensje i chyba do dziś nie uzgodniono poglądów na temat antyków, skoro wszyscy obnoszą swoje urazy jak eksportowe kozuski.

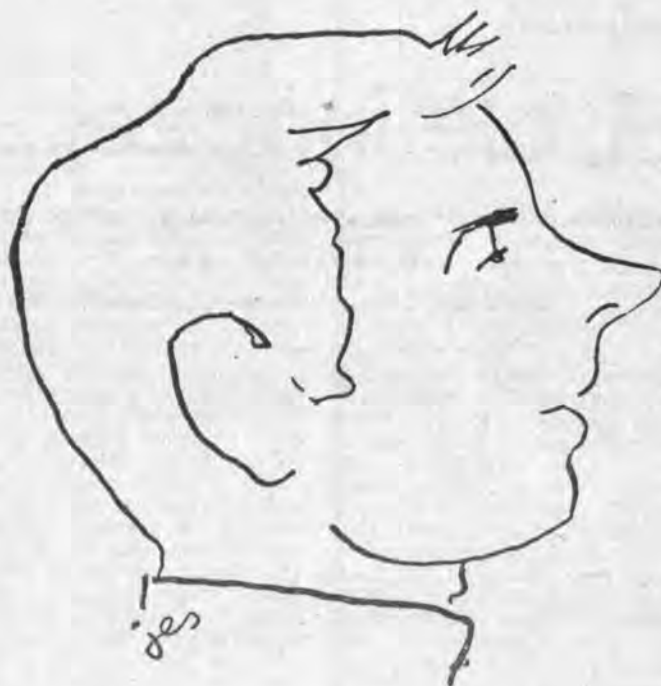
Pani X przynajmniej wśród nielicznych znajomych zdobyła długo oczekiwany rozgłos. Myślę, że o to jej tylko chodziło. Dla sławy wymyśliła najbardziej nieprawdopodobne historie ludzkie, że zdobędziemy świat, a przy okazji gotówkę. Grubsza forsa jest kluczem do wszystkiego — wystarczy jeden, mały eksperyment, trochę ryzyka, a życie stoi otworem. Trudno tylko utrafić w sedno i zwykle udaje się to nielicznym. Uznaniem nie spada na człowieka jak kaszka manna, dobrze się trzeba napracować, by go osiągnąć. Nie ma sukcesów bez rzetelnego przygotowania i wysiłku. Tak jest w każdej dziedzinie, gdyż talent bez wiedzy starca na krótko.

Primabalerina godzinami ćwiczy skomplikowane pasy, muzyki wkuwają solfeż, aktorzy uczą się kilometrowych ról, uczeni latami zgłębiają tajniki świata, a pisarze długo potrafią dumać nad prostą metaforą. Często jednak wyobrażamy sobie, że jest inaczej. Sądymy, że życie znanych osobistości usłane jest płatkami róż, składa się z rautów, przejażdżek samochodem i wizyt u krawca. Nie przychodzi nam na myśl, że dyplomacie nie wolno urwać się z konferencji, a gwiazdy filmowe harują kilkanaście godzin na dobę.

Życie ludzi sławnych jest własnością publiczną. Ich sprawy rodzinne nie są tajemnicą — pasjonujemy się nimi, komentujemy najdrobniejsze szczegóły. Niedawno wybrzydzało się na p. Kennedy, dziś obgaduje się dziecko Sophii Loren, jutro na tapecie będzie broda Czesława Niemena. Za interesowanie staje się męczące, ale jest ceną za sławę. Świat dyktuje postępowanie swoim ulubieńcom i zależnie od okoliczności darzy ich sympatią lub nienawiścią.

Zastanowiwszy się głęboko dojdź można do wniosku, że lepiej być szarym obywatelem. Tylko nielicznych obchodzą wtedy nasze rozwydry, obwód talii i numer bucików. Można w papilotach wyskoczyć po bułki i samotnie pojechać na wycieczkę. Jest się zwolnionym od czuwania nad każdym słowem i gestem. Cóż, kiedy natura ludzka zmienna jest jak kameleon. Dziś pragniemy żyć na bezludnej wyspie, jutro marzymy o tym, by nas fetowali notabie. Kombinujemy jak się wyróżnić i konceptów jest całe morowie. Dla jednych empirowe meble, dla drugich wyjazd do Warszawy. Bowiem na dnie wszelkich ludzkich poczynań leży chęć uzyskania rozgłosu choćby na miarę własnego podwórka. Odruch zupełnie normalny, pod warunkiem, że stać nas jeszcze na odrobinę zdrowego rozsądku.

BEGA



JÓZEF JABŁOŃSKI — członek zespołu „Meluzyna” z Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

„ANNA” — PRZEWORSK — W wierszach, które otrzymaliśmy brak jakiejś przewodniej myśli, logiki w układzie obrazów i precyzji w stosowaniu środków wyrazu. To po prostu zlepkę przypadkowo skojarzonych, pseudopoetyckich zwrotów, jak np. „zagubiony instykt przynależności / waleśający się po kamienistych / ścieżkach strzonych gór”, lub „złudzenie zabija rzeczowość”, czy „krwawość przypadkowych zamiarów”. Przecież to wszystko nie ma znaczenia.

J.L. — TARNÓW: W wierszu „Poeta” czytamy: „Nie wiem / co to poezja, / nie wiem / po co i na co, / wiem, / że czasami ludzie / czytają wiersze / płaczą...”. Czy to ładnie tak ściągać z Broniewskiego? Cały ten wiersz zresztą jest dość nieudolną kopią wiersza tego poety.

Czyżby Pan sądził, że nie znamy poezji polskiej?

ESZ. SPÓD ŁAŃCUTA: Tym razem odpowiedź jest przeznaczona na pewno dla Pana. Niestety, nie pocieszającego nie możemy powiedzieć. Wiersze są objawem niepojętym, niegadulstwa i złego smaku. W wierszu „Do M.” pisze Pan: „Może wiersz mój nie tak doskonały / Doskonalszą Ty jesteś kobieta / Ciebie boginie ugniaty. / Piękniejszej nie znalazłbym ze świecą...”. Na miejscu „M” nie byłbym zachwycony tym komplementem. Lepiej chyba przekazać jej wyraz swych uczuć prozą i przestać pisać wiersze, gdyż inne też nie lepsze.

H.L. — NOWA DEBA: Za krótko Pani czekała. Niestety, musimy podtrzymać naszą opinię sprzed roku. Nic się od tamtego czasu nie zmieniło.

JÓZEF RYS — ŁAKA: Niestety, kalendarze, o których Pan wspomina nie są moją własnością. Ich właścicielem jest mój sąsiad, który sam jest fanatycznym kolekcjonerem starych kalendarzy. Nie sądzę, by mógł Pan coś u niego uzyskać. Proszę się zwrócić pod adresem: Marian Nizioł, Rzeszów, ul. Lenartowicza 31/1.

Na naszym ekranie



Eddie Chapman Story

Eddie to autentyczny facet, postać historyczna. Autentyczny jest jego wyuczony fach wprawca rozpruwającego kasy wybuchową mieszanką i autentyczne są zasługi oddane angielskiemu wywiadowi podczas wojny. Bo Eddie Chapman przy-

skrzytniony tuż przed wojną przez policję i osadzony w więzieniu na wyspie Jersey (skąd usiłował zresztą zbiec, udając syna naczelnika policji i złapano go dosłownie w ostatniej chwili w samolocie) po zajęciu tego skrawka brytyjskiego teryto-

rium przez Niemców zgłasza się do nich na służbę przeciw swemu krajowi. Wysłany po przeszkoleniu do Anglii melduje się tam w wywiadzie proponując z kolei tutaj swoje usługi. Ofertę przyjęto i Chapman stał się jednym z wielkich „podwójnych” agentów minionej wojny.

Można więc powiedzieć, że Chapman to taki angielski Kłos, ale porównaniem tym wyrządilibyśmy krzywdę naszemu sympatycznemu Jankowi i jemu podobnym. Podczas gdy oni narażali życie w poczuciu obowiązku wobec ojczyzny, z nienawiścią do hitlerizmu, itp., itp., Chapman miał inny bodziec: pieniądze. Kiedy przeszedł szkołę wywiadu w Wehrmachcie, jego pierwszym kłopotem była troska o wysokość kwoty, jaką otrzyma za wykonanie pierwszego zadania. W rozmowach z wywiadem brytyjskim także twarzą stawiał pieniądze warunki, ba, zachciało mu się jeszcze medalu.

Chapman robił zatem na wojnie interes, business i pieniądze były dla niego ważne, a nie to, kto i dlaczego powinien wygrać.

Reżyser Terence Young, który znał Eddiego sprzed wojny i na polecenie Secret Service spotykał się z nim w roku 1942, tak mówił dziennikarzowi z „Films and Film”, o rozmowie z oficerami wywiadu:

— Powiedziałem, że moim zdaniem Eddie wróci, jeżeli dostanie za to dodatkową sumę w żywej gotówce. Wyjaśnili mi, że ma dostać 10 tys. funtów, ale dodatkowo domaga się medalu czego mu odmówili. Powiedziałem, że według mnie za tę kwotę

mogą liczyć na dobrą robotę ze strony Edda”.

Film o Chapmanie chcieli kręcić wielu reżyserów. Alfred Hitchcock, Sidney Lumet, Jules Dassin, ale brytyjski wywiad protestował i dopiero 4 lata temu zezwolił T. Youngowi na ekranizację wspomnień Eddiego. Young dobrał sobie zespół znanych i dobrych aktorów (Christopher Plummer, Yul Brynner, Romy Schneider, Gert Froebe, Trevor Howard, Claudine Auger i in.) realizując gładziutki film, w którym akcja jest potoczysta, fantastyczna, prawie nieprawdopodobna. Young, który ostatnio specjalizował się w filmach o Jamesie Bondzie, upodobnił postać Chapmana do bohatera tamtych filmów. Ten niepokonany zdobywca tajemnic i kobiet budzi nieufność doświadczonego widza. Nie wiemy gdzie prawda, a gdzie fikcja, wątpliwy, by historyczni Niemcy byli tak pajacowaci i durni, jak ci pokazani w filmie. Dlatego przyjmujemy obraz „Agent o dwu twarzach” jako opowieść o autentycznych faktach, ale podłana mocno fantazją, wymysłem, nie nazbyt wierną w realiach, budzącą wątpliwości.

A czyż właśnie taki „bohater” wart jest filmu? Cóż ma on do powiedzenia widzom? Że wojna to interes, na którym można zarobić? Że najważniejsze jest cwaniactwo i spryt? Interesy na wojnie robił także Wokulski z „Lalki”, ale nikt nie czynił z niego za to bohatera. A może tacy właśnie bohaterowie jak Chapman są potrzebni kapitalistycznej soldatesce?

(82)

ZDARZENIA TYGODNIA

W sobotę, tj. 25 bm. odbędzie się w Rzeszowie posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Współzawodnictwa Placówek Kulturalno-Oświatowych pod nazwą „Każdego dnia służymy Polsce Ludowej”, ogłoszonego dla uczczenia 25-lecia PRL.

Podczas spotkania zostanie opracowany plan pracy zespołu, zatwierdzone będą składy powiatowych komisji oraz wyłoniony zespół ocen przebiegu i wyników współzawodnictwa.

Omówieniu wieloletnich i perspektywicznych planów rozwoju muzeów woj. rzeszowskiego poświęcona była zorganizowana w Muzeum Okręgowym narada dyrektorów i kierowników tych placówek.

Jak wynika z przedstawionych materiałów najpilniejszą potrzebą jest rozszerzenie bazy lokalowej istniejących już placówek oraz budowa nowych np. muzeum budownictwa ludowego dla północnych i wschodnich obszarów województwa rzeszowskiego. Plan wieloletni przewiduje także rozbudowę Muzeum Okręgowego w Rzeszowie poprzez przyjęcie pałacu letniego Lubomirskich, w którym zostanie zlokalizowany oddział archeologiczny, który stanie się załącznikiem przyszłego samodzielnego muzeum archeologicznego woj. rzeszowskiego.

Rozbudowie ulegną także muzea w Przemyślu, Jarosławiu i Krośnie, a społeczne placówki w Jasie i Kolbuszowej przejęte zostaną przez rady narodowe. W Lesku powstanie muzeum przyrodnicze.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie podjęła się roli koordynatora akcji spotkań z pisarzami.

W ubiegłą środę odbyła się w Rzeszowie narada w tej sprawie. Wzięli w niej udział przedstawiciele zainteresowanych organizacji i instytucji tj. Wydziału Kultury Prezydium WRN, ZMS, WDK, PP „Ruch”, ZLP i WKZZ oraz Domu Książki.

W trakcie spotkania ustalono, że koordynator opracuje tenajmniej cykl spotkań (np. człowiek — świat — polityka, ludowa obrotowość) oraz zaproponuje listę autorów, którzy będą zapraszani przez zainteresowanych.

W dniu 21 bm. obradowała Komisja Kultury ZW ZMW, która omówiła i przyjęła program na rok 1969 w zakresie działalności kulturalno-oświatowej. Koncentrować się ona będzie w związku z przypadającymi w roku bieżącym ważnymi kampaniami politycznymi, a przede wszystkim wyborami do Sejmu i rad narodowych oraz obchodami 25-lecia PRL, na rozwijaniu różnorodnych form pracy i organizacji imprez z udziałem wiejskich, amatorskich zespołów artystycznych. Szczególny nacisk zostanie położony na rozszerzenie działalności ośrodków życia kulturalnego na wsi w ramach ogólnopolskiego współzawodnictwa.

W Rzeszowie powołano nowy zespół do spraw Wojewódzkiej Sceny Amatorskiej Twórczości Artystycznej. W jego skład weszli przedstawiciele WDK, WKZZ i Związku Teatrów Amatorskich.

Podczas posiedzenia zespołu omówiono program działalności sceny oraz ustalono harmonogram występów. Przewiduje on prezentację (na początku lutego) teatru „Maska” przy Prez. PRN w Krośnie, programu rewiowego ZDK Sanockiej Fabryki Autobusów (marzec) Zespołu Pieśni i Tańca ZDK Huty „Stalowa Wola” „Lasowiaci” (kwiecień). W maju odbędzie się koncert laureatów przeglądu wojewódzkiego Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w 25-lecie PRL, natomiast w czerwcu, w ramach finału „Karnawału Młodości”, odbędzie się pokaz najlepszych zespołów dziecięcych. Poza tym w kwietniu, w ramach międzywojewódzkiej sceny amatora odbędzie się przegląd zespołów kabaretowych z Katowia, Kielce, Krakowa i Rzeszowa.

WDK wspólnie z PUPiK „Ruch” oraz ZO ZNP rozpoczął cykl szkoleń nauczycieli zaangażowanych w prace klubów „Ruch”. Odbędzie się one w siedmiu rejonach naszego województwa dla sąsiednich powiatów. Pierwsze z nich odbyło się już w dniach 18-19 bm. w Szymbarku dla pow. Jasło i Gorlice.

Tematyka zajęć obejmuje rolę środków masowego przekazu w pracy klubowej, formy i metody pracy z dziećmi, z podkreśleniem tematyki „Karnawału Młodości” oraz pokazy organizacji wieczorów w klubach.

Na ostatni koncert symfoniczny (w piątek 24 bm.) złożyły się „Requiem” W. A. Mozarta i V Symfonia L. v. Beethovena. Orkiestrą Państwowej Filharmonii w Rzeszowie dyrygował Janusz Ambros.

Solistami byli: Halina Słonicka (sopran) i Krystyna Szczepańska (alt) — artystki Teatru Wielkiego w Warszawie oraz Kazimierz Myrlik z Onery Krakowskiej i Zenon Bester z Onery Śląskiej. Wystąpił także chór Towarzystwa Śpiewaczego „Orfeusz”.